

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 2); półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Marian Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Świat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgebera i Spół. kwart. 5 marek.

POLKI

we współczesnej literaturze, nauce i sztuce.

ZOFIA MELLEROWA.

(Sylwetka literacka).



(Dokończenie).

Ten typ, ulubiony przez nasze „komedye sielskie” i „powieści familijne” powoli zachodzi w cień, w przeszłość, staje się wykopaliskiem. A szkoda! Tak często ratował w nich sytuację i... swojskość.

Mellerowa ze szczególnem upodobaniem wraca po kilkakroć do poczciwej figury szlagona.

Urasta ona na miarę postaci naczelnej w drobnym, bezpretensjonalnym obrazku pod tytułem „Straduję!”. Pan Jacenty, dziedzic jakich wiele, przyjeżdża do Warszawy, aby zlikwidować dawno zaległy dług. Cóż z tego, że dłużnicy byli kiedyś jego sąsiadami, że dziś klepią biedę na warszawskim bruku? Stefcia zmyje mu głowę, jak „amen w pacierzu!” Trudna rada! I oto widmo komornika i licytacyi zawisa nad głowami polnych rozbitków. Szczęściem przychodzi im w pomoc, wiecie kto? poczciwa polska grochówka! Któż widział jeśe grochówkę bez wędzonki? A pfe! I pan Jacenty roni serdeczną łzę nad tale rzem biednej, wodą zaklepanej zupy... „Prolonguję, do stu tysięcy, prolonguję!”

Taki jest szkielec obrazka, prosty, niewyszukany, nawet błahy. Sam fakt psychologiczny trąci nieco myszką. Ale ile samordnego wdzięku w szczegółach! Ta cała atmosfera pracowitej biedy, te dwie izdebki na poddaszu, te wytarte stolki, ten malec trzy-nastoletni, co daje korrepetycye, za „dwa ruble miesięcznie i podwieczorek,” ta chuda gro-

chówka wreszcie,—jakie to wszystko jest nasze, swojskie i... wesołe. Tak, naprawdę wesołe! Mellerowa wszystko umie okrasić słoneczną smugą jowialnego humoru!

Nie idzie zatem, aby obcą jej była stateczna myśl. „Falszywe blaski” i „Kto winniejszy?” odrzucają stanowczo to podejrzenie. Jej umysłowość bystra, ruchliwa, choć nie głęboka, łatwo chwytala idee i prądy, nurtujące w myśli współczesnej, i wplatała je bez trudu i zachodu w wątek komedyowy. Praca organiczna, owo osławione hasło okresu pozytywistycznego znalazło w niej pełną szczerą chęć orędowniczką i odezwało się sympatycznym echem w „Zyziu” i „Podwójnej buchalteryi.” Kwestyę małżeńską podparto tu zagadnieniem bytu materyalnego.

„Zyziu” pod względem zewnętrznym byłby komedyą dobrą, gdyby nie pewna rozwlekłość. Karcenie zaślepionych matek i marnotrawnych synków nigdy nie jest spóźnione, ale nie upoważnia ono bynajmniej do łokciowych monologów. Bohaterowie „życia” mogą być bardzo dobrze określani, ale bezwarunkowo są zanadto „wygadani.” Dlatego komedia, zanim pocznie nas uczyć i bawić, wprzód znuży.

Co innego „Podwójna buchalterya.” Wprawdzie jest to powtórzenie „Dwóch miar,” ale powtórzenie rozszerzone i żywsze. Świątek obywatelski ma barwy nie nowe, ale i nie nazbyt oklepane. Tradycyjalnym uprzedzeniem szlacheckim przycięto trochę różków. Jakiś zacny przemysłowiec stąpa zacie po posadzkach wiejskiego dworu. Szkoda tylko, że o tej zacności słyszemy bardzo wiele, a widzieć jej,—po prawdzie, nie widzimy. Zato opracowanie zewnętrzne nie pozostawia nic do życzenia. Zespół scen i efektów—po prostu świetny. Szczególnie akt II, w buduarze Loli, gdzie przesuwają się kolejno przypadkowe grupy zebranych gości, chlubnie

świadczy o zręczności w manewrowaniu figurami, tak, że każda ma swoje miejsce i zadanie.

Tę samą cechę podpatrzeć można i w ostatniej komedii Mellerowej. Fakt, tkwiący kamieniem węgielnym w podstawie ideowej sztuki „Kto winniejszy?” wpleciono epizodycznie w tragi-komiczne losy męża „Zbyt doświadczonego.”

Wiadomo, że tacy panowie lubią udręczać swoje żony niesłuszną zazdrością. Tutaj enota jest nagrodzona, a występek przykładowie ukarany. „Mąż z przeszłością” wpada w potrzask przez siebie samego zastawiony. Podrzucają mu dziecko. Effekt użyty umiejętnie, po teatralnemu, ale bez przesady. Wieść o podrzuceniu dziecka, to tylko pierwszy krzyk tych wzajemnych podejrzeń, które przez cały ciąg poprzednich scen czaiły się po kątach i krążyły nad głowami małżonków, jak sępy. Tam, gdzie dotychczas gadali i szeptali ludzie, teraz poczyna się coś dziać. Na ustach zakwitają ironiczne uśmiechy, krzyżują się milczące znaki zapytania. Słychać czyjeś bolesne łkanie. Ira płacze. Więc może to on, Roman...mąż. Dreszcz niepokoju wstrząsa ciałem tych ludzi i udziela się widzom. Znać, że autorka nie po raz pierwszy styka się z psychologią patrzącego tłumu. Zażyła go trafnie, podbiła sobie ze zręcznością doświadczonego mistrza igraszek. Wprawdzie niewinny effekcik z podrzuceniem, pachnie melodramatem, ale cel jest osiągnięty. Nie wolno słuchaczowi odetchnąć. Przerwa pomiędzy aktami jest tylko długą chwilą drażniącego oczekiwania. I oto znów podnosi się zasłona, lecz teraz pod znakiem gniewu. Kobiety powstają przeciw panom świata, jak jeden mąż. „La fronde” święci tryumfy. Jedna i druga pani zaczyna wykład o przewrotności męskiej, ale go nie kończy. Scena nie jest katedrą do wygłaszania referatów o moralno-

ści społecznej. Robi się zamęt. Sieć podejrzeń i omyłek wikła się coraz bardziej. Szczęściem traf, ten odwieczny i nigdy nie zawodzący „gród zbawienia“ rozpościera opiekuńcze skrzydła nad głowami zwaśnionych. Wszystko staje się jasne, jak na dłoni. Twarze rozjaśniają się także. To nie było żadne podrzucenie, to tylko prosta omyłka, wypadek. Aktorzy się śmieją, publiczność się śmieje, a „zbyt doświadczony“ pan Roman wstępuje na wyżyny patosu koturnowego i pyta głosem dyktatora: „Któż mi wskaże, jakim sposobem gruntownie umoralnić kobietę?“ — „Nic prostszego. Oto, umoralnijcie samych siebie, a kwestya rozwiązana,“ odpowiada mu jakaś nadobna niewiasta, parafrazując zręcznie jeden z najświeższych postulatów t. zw. ruchu emancypacyjnego. Bardzo pięknie. W całej sztuce niema ani krzty zaciekłości bojowej, tem mniej szowinizmu kobiecego. To tylko przypomnienie, „memorandum“ na marginesie książeczki zabawnej. Struna moralności społecznej, tracona przelotnie, epizodycznie, z umysłową lekkością. Ale dobrze z tem i sztuce i jej autorce.

Komedia nie jest polem, na którym błękitni rycerze idei kruszą kopie o dogmat, o cześć. Nie zapominajmy, że mamy do czynienia z komedią tamtego wieku. Fredro ojciec błogosławił ją na drogę żywota, a Sardou dał jej lekkość i szczebiotliwość salonowego dyalogu. Że tam czasem z za utrefionych główek wyjrzy i praszczur Molier, — to i cóż? kiedy dyalog jest żywy. Są ludzie, którzy nie mogą poprostu żyć bez teatru. Przez papierowe drzewka i płócienne ścianki przebijają sobie najłatwiej okienko na świat ideałów. Do takich istot należy i Mellerowa. Ambicyą jej życia jest obsypać widza tęczowymi szkiełkami dyalogu. Cel osiąga z łatwością; słowa skaczą od ust do ust, jak piłki.

Dlatego też komedye jej nigdy nie mogą się obejść bez desek. Atmosfera sceniczna, — to pół ich wartości i siły. Bez niej wydają się blade i anemiczne, przez nią nabierają krwi, nerwu życia.

Choć Mellerowa pisała inne rzeczy, nie komedyczne, tylko w teatrze leży jej wdzięk i znaczenie, bo tam widzimy ją całą, słyszymy jej śmiech. Figlarność jest podstawą tego śmiechu, tak jak odczuciem śmiechu Słowackiego była zraniona duma i serce, a Swifta — polityczna gorycz. Są w jej dorobku literackim takie sztuki, jak np. „Poranek muzyczny,“ „Uwięziona,“ lub „Wdowa z Efezu,“ które nie istniałyby poprostu, nie widziały światła dziennego, gdyby nie ta serdeczna wesołość bez frasunku i troski*).

Jak dziecko przekomarza się i figluje srebrzysty śmiech i po dziecięcemu jest naiwny i szczęśliwy. Dodajmy do tego przejrzystość budowy, nietrudną maskę, wyrazistość figur, łatwość i potoczność języka, — a zrozumiemy, dlaczego komedye Mellerowej są tak pojętne dla teatrów, zarówno poważnych, jak i amatorskich. Milutki, różowy kolorek opływa wokół te pogodne twory cichej słoneczności..

*) „Wdowa z Efezu“ interesuje i przez to, że treści dostarczył jej „Satyrykon“ Petroniusza, spolszczony w urywkach wytwornych przez ks. Wł. M. Dębickiego.

Żaden z nich nie padnie ci na serce kamieniem ciężkiej, w sobie zadumanej troski, ale i nie wystrzeli hałaśliwą racą jarmarcznego humoru. Jest to pianka, ale delikatna i wytworna, pianka, która nie ma nic wspólnego z zapachem chmielu i stukiem bawarskich kufli. Ani jedno usta nie wykrzywiły się jeszcze niesmakiem, żadna warga nie rozkrwawi się na tym pajęczym kryształ, w którym perli się złoty sok winnej jagody.

Bo Mellerowa nie maluje nam nigdy ani bólu, ani ohydy. Zresztą nie ma do tego najmniejszej pretensyi. Świat w jej komediach, to balik krasnoludków, bukiet kwiatusków doniczkowych, skromniutek, miłych, przylepnych, arcyzabawnych.

Człowiek przychodzi, patrzy, uśmiecha się. Czasem nawet śmieje się do łez. Z miną rozbawionego dzieciaka zaciska piąstki i cieszy się, ciekawy, jak się to wszystko skończy. Napewno skończy się dobrze! Bukiet jest tak ładny, tak misternie ułożony... Cóż z tego, że w kwiatach czasem lęgną się żmije, że przeszłość tęskna, a przyszłość niewiadoma? — Czemuż zdmuchiwać rozkoszną pustotę, wonną, jak dym, zwiewną, jak mgła poranna? Radość chwili — radością życia...

...Nie odwracaj głowy, nie oglądaj się, ty, któryś cierpiał i lękał się bólu.

Z powodzi kraśnych wstęg i jednodniowych motyli wyjrzy ku tobie urocza twarz, boskie widmo ironii o niewypowiedzianym uśmiechu.

Dalekie, dalekie, jak sen, oblicze Petroniusza.

Miles.



Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Taniecka spojrziała na syna, potem na synową; wydało jej się, że oboje mieli minę zmieszana i że jej wzroku uniknąć chcieli.

Nie mogła powątpiewać, że chciano przed nią zataić jakąś tajemnicę, którą naiwna niedyskrecya pani Peppy niezręcznie odsłoniła.

Wiedziała, iż pogorszyć może tylko kłopotliwą sytuację, gdyby się zaczęła dopytywać zanadto ciekawie i żądać wyjaśnienia niezrozumiałej dla siebie sprawy, żal jej było Henryka, który widocznie uniknąć pragnął drażliwego przedmiotu.

Nie chciała sprawiać mu przykrości, więc udała, że nie przykładła wielkiej wagi do słów Dobrojewskiej i rzekła:

— Nie rozumiem, o czym pani mówi. Zasiadziałam się tak na wsi, że gdyby nie Henio, zapomniałabym o istnieniu Warszawy.

— O, jak ja pani tego zazdroszczę! — zawołała z fałszywą afektacją Dobrojewska. — Czy pani uwierzy, że nieraz miewam chwile, w których — dając pani słowo — po prostu nie cierpię tej kochanej naszej Warszawki. A ja

ją tak kochałam!... zdawało mi się, że dłużej, jak trzy, cztery miesiące nie mogłabym bez niej wyżyć. Prawda, Michette?... ja dostawałam formalnej nostalgii... tak się to mówi, *n'est ce pas?*... nostalgii dostawałam za granicą!... kiedyśmy raz zasiedziały się w Nizy, to... pamiętasz?... kazałam sobie sprowadzić całe pudło cukierków od Loursa, aby mieć coś warszawskiego przy sobie. A teraz... och!

Otrząsnęła się, jakby z obrzydzeniem.

— Nie cierpię Warszawy, *je vous assure, je la deteste* chwilami!

Powtarzała to z takim komicznym przejęciem, że aż zięć i Taniecka śmiać się zaczęli, a ona sama dała się porwać ich śmiechowi i wpadając znowu w dobry humor, paplała od śliny, mieszając dziesięć rozmaitych tematów jednocześnie.

Miała ten dar ożywiać się i podniecać własną wymową, nawet jeżeli jej nikt nie odpowiadał.

Stary zegar z saskiej porcelany, stojący na kominku, wydzwonił ósmą.

Pani Peppa podniosła się nagle, przerywając sobie opowiadanie o „najnowszej sensacji *dans le monde*,“ którą było małżeństwo margrabiny Lutoborskiej z Żuzem Cedrzyckim, młodszym od niej o lat dwadzieścia, i spojrzawszy na swój zegarek, wysadzany perłami, zawołała niemal z przerażeniem:

— Co to?... już siódma?... nie!... ósma!... czy być może!... na prawdę ósma?... powiedzcie moi drodzy... przecież ja mam dzisiaj leżeć na operę!... Idziemy całą paczką na benefis Battistiniego. A wy nie idziecie?... Ależ to się u was zasiadiałam! Bywajcie zdrowi; moi kochani, uciekam!... Przyjdę po pierwszym akcie. Ach, jakże mi przykro!... z panią to się jeszcze nacieszę jutro, pojutrze, codziennie — prawda?... *Michette, au revoir ma chère, Henri!*...

Zabrała się spieszenie i rozrzucając calusy i uściski dokoła, wybiegła do przedpokoju, pozostawiając po sobie zapach Ideal'u i zapomnianą na stole rękawiczkę.

Taniecka czuła się zmęczona po podróży; zabawiła krótko po odejściu Dobrojewskiej i pomimo zaproszeń syna, aby została na herbacie, wymówiła się potrzebą wypoczynku i odjechała do hotelu.

Małżeństwo pozostało znowu samo, ale jakiś cichy rozdźwięk zapanował między mężem, tak rozmownym i ożywionym jeszcze przed chwilą, a żoną, zasepioną i zadumaną w dalszym ciągu.

Niespodziany przyjazd matki obudził w obojgu jakieś niepokojące przecucia.

— Czy nie wyjdiesz dzisiaj wieczorem? — spytała Misia męża, zajętego niby bardzo poważnie układaniem pasyansa.

— Nie mam zamiaru, — odpowiedział, wpatrzony w karty. — Szkoda mi cię zostawić samą.

— Ach, jeżeli tylko o mnie ci chodzi... nie krępuj się wcale!... będę czytała, a potem położę się wcześniej.

Milczał, zdejmując ze stołu dziesiątki i składając je z wielką uwagą na boku; pogwizdywał przy tem z cicha i zdawał się nie widzieć, że żona stoi po drugiej stronie stołu i oczekuje jego odpowiedzi.

Znać było, że nie ma ochoty podtrzymać z nią rozmowy w tej chwili.

Spoglądała na niego czas jakiś, nie odzywając się ani słowem i odeszła potem do swego pokoju, pozostawiając go przy karykach.

Miała oczy wilgotne, ale na twarzy wyraz surowy.

Spodziewała się, że odczuje, co się w niej działo i tym dobrym instynktem kochającego serca wiedziony, powie jej choć jedno cieplejsze słowo, obrzuci choć jednym dobrem spojrzeniem, podaniem ręki doda otuchy i wyrzeknie:

— Nie obawiaj się!... jestem przy tobie, nie pozwolę ci zrobić żadnej przykrości. We mnie masz obronę i oparcie!

Zawiodła się; on milczał i układał pasyansa, zimny i obojętny.

Po raz pierwszy wydał jej się jakby obcym.

Pozwolił jej odejść i nawet nie podziękował ucałowaniem w czoło, gdy wstawali od obiadu; zajęty był tylko matką, o niej zapomniał zupełnie.

A jednak pewną była, że myślał o tem samem, co jej spokój mąciło.

Obawiał się wrażenia, jakie na jego matce uczyni odkrycie, którego omal przed czasem tak niezręcznie nie zdradziła jej matka.

Czemuż nie skorzystał ze sposobności, aby się przed nią zwierzyć ze swego niepokoju i naradzić wspólnie, jak tę groźną burzę zażegnać?... dlaczego w takiej chwili właśnie nie miał do niej zaufania, nie zbliżył się i zostawiał ją samą własnym myśłem w rozterce?...

Przecież i on przeczuwać musiał, co się w niej dzieje.

Gryzła wargi, skręcała i rozkręcała koronkowe kokardy przy pluszowym szlafrocuku, chodziła w kółko, jak lwica po klatce, po swym buduarze, do którego przez okna wpadał od ulicy blask zapalonych latarni i wydawała krótkie, zdyszane westchnienia z piersi, podnoszonych w przyspieszonym tempie.

Przecucia jej nie omyliły; burza zbierała się nad jej głową.

Taniecka, pomimo że pozornie puściła mimo uszu wzmiankę o fatalnem „Piekielku“, zapamiętała dobrze zmieszanie, jakie zauważyła na twarzy syna i synowej; domyśliła się, że przypadek naprowadził ją na ślad tajemnicy, która mogła jej wyjaśnić powód moralnego zgnębienia, jakie dostrzegła w listach Henryka.

Nazajutrz rano wybrała się niby z wizytą do Dobrojewskiej i naprowadziwszy zręcznie rozmowę na przerwany tak nagle temat wczorajszy, wydobyła z niej całą prawdę.

Pocziwa Pepa wypaplała jej wszystko z dobrą wiarą, że matce zięcia nie powinna ukrywać niczego.

— Przecież lepiej, że się droga pani dowie ode mnie,— mówiła, ściskając ją za rękę,— aniżeli gdyby kto obcy niespodzianie wygadał się o tej całej historii. Henryk i Miszetta omal mnie wczoraj nie zasztyletowali oczyma, gdy się z tem przy nich wyrwałam, uważała pani?... Ale jacy oni dziecinni, prawda?... Przecież od kilku miesięcy

całe miasto o tem mówi. Z początku wrzało, jak w ulu; teraz to już trochę ucichło, bo to małżeństwo margrabiny, na nasze szczęście, odwróciło uwagę od „Piekielka“, ale jeszcze gadają,—o, czego nie wygadują!...

Zastanowiła się chwilę, niezdecydowana, czy może powiedzieć wszystko, lecz w końcu uznała, że w szczerości nie należy nigdy hamulca sobie nakładać.

— Wie pani, do czego doszło? — wybuchnęła nagle,— po prostu do śmieszności!... *Je vous donne ma parole d'honneur, Madame*, że przez dwa dni śmiałam się, jak waryatka, bo to było w swoim rodzaju niesłychanie komiczne.

Taniecka dostała bicia serca i usta jej nerwowo drgały, ale powstrzymywała się wszelkimi siłami, ażeby się nie zdradzić ze wzruszeniem, które ją ogarnęło.

— I cóż to było tak śmiesznego? — spytała, drżąc z niepewności, co jeszcze usłyszy.

— *Imaginez vous*, że rozpowiadali już o rozwodzie!

— Czyim?...

— No, Miszetty i Henryka!

— I pani to znajduje śmiesznem?

Wyprostowała się i spojrzała na Dobrojewską z wyrazem grozy i wyrzutu boleśnego.

Peppa nie dała się wyprowadzić z równowagi ani tem zapytaniem, ani tonem głosu, którym było wypowiedziane.

— *C'est bien simple*, — trzepotała się, jak pensjonarka, opowiadająca koleżance bardzo zabawną przygodę,— przecież to wszystko nie prawda!... to były bajki, które sobie żli ludzie z palca wyssali. Henio ani przez chwilę nawet o tem nie pomyślał, *je vous assure!*

Taniecka cofnęła się na fotelu i z dziwnem politowaniem patrzyła na to stare dziecko.

— Jest pani tego zupełnie pewną? — spytała ją z godnością, ale Dobrojewska nie poznała się na znaczeniu tych słów; podniosła się z kanapy, zarzuciła jej ręce na szyję i śmiejąc się, chciała ją obsypać pocałunkami.

— *Mais chère Madame*, jakżeż można nawet przypuszczać takie rzeczy!...—wołała;— nie, *c'est superbe!*... muszę panią za to uściskać...

Ale matka Henryka spoważniała nagle i niemal surowo spojrzała w oczy Peppy; podniosła rękę i powstrzymała gwałtowny jej wybuch czułości słowem grzecznem, lecz zimnem, jak stal:

— Przepraszam.

Odsunęła się i powstała.

Wiedziała dość, aby przerwać dalszą rozmowę, która jej tyle bólu i niesmaku sprawiła.

Dobrojewska zmiarkowała się wreszcie, że popełniła jakąś wielką niezręczność; zmiana w usposobieniu i całej fizyognomii Tanieckiej była tak znaczną, iż nie mogła ująć uwagi nawet roztrzepanej Peppy.

— Ja widzę... widzę, że pani jest jakaś urażona,— zaczęła zmieszana, straciwszy pewność siebie,—doprawdy, nie rozumiem, co... właściwie... co pani zamierza...

Taniecka poszła ku drzwiom, ściskając sobie skronie rękoma.

Stała tak chwilę, namyślając się, jak gdyby dopiero teraz odzyskała świadomość wszystkiego, co wysłuchać musiała i rzekła głosem zgłuszonym:

— Co zamierzam?... nie wiem jeszcze sama. Wpierw.. muszę... muszę... Żegnam panią i dziękuję za objaśnienia. Żegnam!

Podala jej rękę krótko, nerwowo i nie pozwalając się zatrzymać, wyszła z pośpiechem.

Dnia tego oczekiwano ją nadarmo ze śniadaniem w domu syna.

Henryk zaniepokojony wybrał się osobiście do hotelu, ale nie zastał matki; odwiedził z powrotem teściową, ale i jej nie było w domu.

Po południu otrzymał krótki bilecik, który mu wytłómaczył jej nieobecność:

„Mam z Tobą, moje dziecko, pomówić w bardzo ważnej i dyskretniej sprawie,— pisała do syna,— odwiedź mnie, ale sam. Będę Cię oczekiwała z bijącym sercem.“

Dowiedziała się o wszystkim! — pomyślał i twarz mu się powlekła cieniem bolesnego smutku.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Czy moja rola kłós wyda?



Kiedyż mym kielkom siły przybędzie
I kłosa błysną na mojej grzędzie!...
Patrząc na cudze łąki i pola,
Widzę, jak bujnie obradza rola,
A mój zagonek czteroskibowy,
Mimo uprawy leży jałowy!
Sam orzę, kopię — rozsiewam ziarna,
I rola niby żyzna i czarna —
Czemuż nie rodzi,— powiedźcie... czemu?...
Jak mam uprawiać — zaradzić zlemu?—
Czasem wystrzeli kielek zielony,
Ale ożywecej rosy spragniony
Wiednie i znika na suchej roli,
Jak małe dziecię cierpiąc powoli,
Nim biedną główkę złoży bezwładnie,
Co ni poruszyć, ni wstrzymać snadnie.
Tak ma nadzieja z posiewu właśnie
Schodzi i błyska — blednie i gaśnie.
Więc na cóż moja praca się przyda,
Gdy mój zagonek plonów nie wyda!
Wyda, nie wyda, na Bożą wolę
Jeszcze raz zorzę,— uprawię rolę;
Może w posiewu dziesiątej wiosnie
Ziarno zkielkuje i w kłós wyrośnie!

Antoni Koźluk.



IDEALY I RZECZYWISTOŚĆ EMANCYPACJI KOBIECEJ.



I.

Każdy ruch ideowy, każde przeobrażenie ideałów powołane do życia wezbranami bałwanami nowego porządku rzeczy, nieuniknienie łamiący się w ciągłości swego rozwoju ze starym, zależny jest od potęgi warunkowej miejsca i chwili. To też w miarę odmiany warunków przejawia się wszędzie i zawsze w nieco odmiennej formie.

W Ameryce i Europie kwestya kobieca została zasadniczo poniekąd—w znaczeniu twierdzącem—rozstrzygnięta, przez samą nieubłaganą rzeczywistość materialnych, umysłowych i moralnych potrzeb całej społeczności ludzkiej, dążącej do jakiegoś możliwego pogodzenia drobiazgowości płci kobiecej i męskiej, wiecznie zmagających się ze sobą o niezależność największą i największą łączność, u nas zaś,—nie przetrwawszy jeszcze chaotycznego okresu przełomu—błąka się ona po zawiłych, przynaglonych torach intuicji i omacku.

Chcąc zbadać przyczynę opóźnienia się naszego społeczeństwa w zaszczytnym pochodzie postępu ogólnego, należy kolejno rozejrzeć się w dziedzinie czynników teoretycznego uświadomienia godności „prawdziwego człowieka” i praktycznego zastosowania go w namacalnej faktyczności, oraz społecznego interesu całości narodowej i ludzkiej.

Wyjaśniliśmy tedy dokładnie istotę rzeczy, moglibyśmy rozwiązać jedno z najgłębszych zagadnień życia i prawem obowiązującym każdego, świadomie stanąć po stronie „dobrego” zwalczającego „złe.”

Cóż więc jest winą rzeczonego stanu: myśl nasza, uczucie, charakter, czy temperament czynu, nie dający się wstrząsnąć wielkim przyzywom podźwignienia sumień,—spotęgowania moralności osobowej?

Czyżbyśmy, zawdzięczając swej pewnej tradycyjnej bierności i śpiączce umysłowej, nie zrozumieli jeszcze, że stanowimy jedno z ogniw powszechnej całości i dalej, że wszelkie uzdrowieniowe zmiany, zachodzące w poszczególnych organach wszechludzkiego ciała, są też i naszą nieodwołalną, szczęśliwą, przynależnością? Czyżby utylitaryzm i materializm wieku, słynnego z rozkwitu elektryczności, pary i mechanizmu, wieku, walk i wojen najzaciętszych jednocześnie przygasił w nas wszelkie bogactwa duchowych poczuc? Czyżbyśmy, zatruci trupiami wyziewami ugorów znikczemnienia życiowego i cząstkowej śmierci, całkiem już zdrętwieli i niezdolnymi się stali położyć jakiebądź zasługi na chwalebnych polach uszlachetnienia instynktów społecznych i w ogóle odznaczyć się uzacnieniem rodzaju ludzkiego? Czyżby,—słowem—nie stać nas było na dorosnięcie do najwyższego ideału ludzkiego, któremu by trysła z czoła świetlana aureola przenajczystszych, wielkich, zasadniczych prawd życiowych, rozwiewających dokola promienie zdrowotności fizycznej i moralnej?!

Zaiste,—trudną jest odpowiedź, wobec niezmiernej doniosłości i powagi zagadnienia...

Chociaż zmieniające się stopniowo stosunki gospodarcze same się regulują popytem i podażą i spore już zastępy mamy kobiet, pracujących na wszelkich bujnych niwach i bezpłodnych ugorach, chociaż rozpaczliwe przygnębienie, spowodowane ogólnym brakiem zasad, ogólnym brakiem jędrności i ostój moralnych chwili bieżącej z dodaniem miejscowych przyczyn, dusi nas, jak zmora zgnuśnialości, wiecznie równająca życie do jednego, średniego poziomu, chociaż wadliwy stan rzeczy sam wikła prawidłowy związek norm społecznych, w niebogłoty o sprawiedliwość wołający,—nie pragniemy, czy nie możemy sprowadzić nędz rzeczywistości naszej do jednego mianownika, nie pragniemy, czy nie możemy się ześrodkować,—poważnie wejrzeć w ideały i potrzeby wyzwolin duchowych, wmyślić się we wsteczne, bankruckie objawy bezmyślności, ciemnoty i znieprawienia, obniżające pełnienie obowiązków obywatelskich, wczuć się i wtęsknić w wiew ożywczy „ducha czasu,” porywającego nas swoją nową, żywiołową mocą,—mocą, wiodącą do niezależności osobowej i samodzielności powszechnej, do spotęgowania postępu dostojeństwa ludzkiego i szczęśliwości ogólnej.

Nie mamy często dobrej woli, aby bez uprzedzeń koteryjnych i klikarskich zasięgnąć wiadomości i sprawozdań, oświetlających tę doniosłą sprawę; nie mamy nieraz dobrej woli, aby uznać w zasadzie, w teorii ruch kobiecy za naturalny, pożądaný i zdrowotny, gdy już same stoimy na wałach zdobytej przez się twierdzy i fachowej wiedzy, lub też,—gdy jesteśmy zbyt leniwe i bierne, aby się odważnie rzucić w wir burzy, oświetlającej atmosferę; nie mamy dobrej woli, aby raz nareszcie porozumieć się, aby przyjąć do jakiejbądź zgody i przystąpić do wzmożonej, powszechnej, najskuteczniejszej działalności, mającej na celu jedynie dobro płci obojej...

Smutna rzeczywistość!

Rozdwojenie między teorią a praktyką, między dążeniami postępowych nowatorek, a zacofaniem upartych zachowawczyń, starych zwyczajów i zapatrywań, między płcią muskularną, a węższą (co właściwie miast wprowadzić sprawę na należyty grunt szlachetnej rozszerzalności praw ogólnobywatelskich i zakresu działalności kobiecej, czyni ją raczej walką prześladowanych i krzywdzieli,—samoobroną ofiar oburzającej niesprawiedliwości ludzkiej!), rozdźwięk w uczuciach i nierówność w czynach,—wszystko to, są objawy przejściowe ruchu kobiecego, które uważam za wielką konieczność dziejową, gdyż każde pożądané, lub niepożądane zjawisko jest prawym następcą poprzedzających ją przyczyn.

Któżby zaprzeczył, że kobieta ze stanowiska przyrodzonego podziału funkcji ma święte, nieodwołalne prawa, nie tylko pod względem posłannictwa rozrodczego, ale też utrzymania się z własnej, tego lub innego rodzaju pracy, swobodnego zmiernania na wyższe poziomy życia, a jednak... chociaż jasno widzimy nagą prawdę, nie możemy się zrównoważyć w czynach, nie możemy się pozbyć auto-

matycznych nałogów zbiorowych, nie możemy śmiało i odrazu wkroczyć na najprostszyszlak istotnego postępu, a tylko wolno—krok za krokiem, chwila za chwilą, przygotowujemy się, przystosowujemy i wdramy weni...

Emaneypacya w tym i owym razie przestąpiła już mroczne szczeble umysłowe i faktyczne, lecz nie zdążyła jeszcze wżyć się w czucie i nawyknięcie nasze.

Jakim sposobem dałoby się wyzwolić z tej błędnej, zaklętej matni?...

II.

Namiętne i stronicze stawianie kwestyi kobiecej na gruncie wrogiego przeciwdziałania i zatargów osobistych, wytykanie krzywd dotkliwych, niewyczerpanych, a nieświadomie najczęściej czynionych, rozpaczliwe nawoływanie całego rodu kobiecego do odemsty (jak się, niestety, nie raz jeszcze dzieje!)—bezprawia, walki na pięście, zło tylko w swoich skutkach niosące,—zaprawdę,—nie zapowiada jakiegobądź lepszego rozwiązania tak zawiłych, nieuchwytnych, do nieskończoności subtelnych stosunków różniczkowych.

Nic sprawy rozplątaćby się może dała nie małopio-naśladowniczym napadem na gnębieli-mężczyzn, lub niewolniczo-bezradnem przechodzeniem na stronę silniejszego,—słowem osobistą niechęcią lub skłonnością, płynącą zawsze z osobistych, egoistycznych pobudek, nie bezwzględny, zapamiętałym bojem na całej linii styczej, lub zrównaniem w dobrem, a nawet bodaj w złem z typem płci innej, nicestwiącym właściwości różnych, ale bezwarunkowo równych sobie wartości osobistych,—gdyż ani mężczyzna dla kobiety, ani odwrotnie, bezpośrednim ideałem być nie może,—lecz zrzeszoną samoobroną, w ostatecznym razie—mocnym buntem przeciwko szablownowi, bezmyślności, gnuśności i rutynie, uzupełnieniem się w przyjaźni i koleżeństwie, we wzajemnem oddawaniu usług, współubieganiu się o najbogatsze, ułatwiające życie plony na niwie dorobków materialnych, duchowych i cielesnych, podjętych w imię dobrze zrozumianego interesu, w imię urzeczywistnienia ideału godności „człowieka zupełnego,” w imię miłości zobopólnej i delikatności względem wszystkich węższych, wrażliwszych i szlachetniejszych bliźnich.

Zarówno śmiesznem jest bojaźliwe nawoływanie „do kolebki,” wobec wzrastających szlachetnych pragnień i dążności kobiet ku rozszerzaniu własnych i ogólnych horyzontów myślowych, jak i przesadna, zwyrodniała, jałowa junakerya bezkrwistych nienawistniczek płci męskiej, bojujących w imię „materialnej, moralnej i fizycznej niewoli” kobiet, gdyż kobieta popychana istotną potrzebą instynktu i świadomości, nigdy, przenigdy nie zaprzestanie być najczulszą piastunką ludzkości, nigdy, przenigdy nie poniecha szczerzej, porywającej, idealnej miłości, stanowiącej najjaśniejszy promień bytu człowieczego, nigdy,—jeśli nawet los wyjątkowo przeszkodzi jejłożyć objatę na ołtarzu nowo-powstałego życia,—nie zbędzie się uczuć subtelniejszych, nastrojów czulszych i tkliwszych, egzaltacji miłosnych!...

O szczęście dziecka!



(Dokończenie).

IV.

Oszczędność i zbytek.

„Śladem bieda przyszła, śladem,
Za zbytkami, za nieładem.“

Karpiński.

„Nie mogę wierzyć, żeby się niedola dała
we znaki tym, którzy z rejestru wydatków
swoich rubrykę próżności wymazali. Może
czasem wielu przyjemności zabraknąć, ale co
przyjemność znaczy, kiedy jest szczęście?“

Gabryela Żmichowska.

Zarówno wstrętnem jest i poniżającym flirciarstwo, w pół-platoniczna miłostkowość, półdziewictwo i najzupełniejszy płciowy upadek kobiety, — co już nareszcie zrozumiały i odczuły Amerykanki, Angielki, Szwedki, a nawet zniesławione, od stóp do głów unurzane w rozpuszcie panny paryzkie, — jak i podwójny przyrządek płciowej moralności mężczyzny, niosący wszelkie chorobliwe, zwyrodniające, zgubne dla całej ludzkości skutki, gdyż zanik ideałów, odejmując kapłaństwo człowiekowi, stacza go nieskończenie nisko, — o wiele niżej od ślepo spełniających prawa przyrody najmniejszych bydła; szczęście ludzkie przecie leży nie w nicestwieniu życia, nie w przepalaniu go bardziej narkotyzującą, niż alkohol i haszysz rozpustą, nie w surogatach, — upadających miłostkach zmysłowych, ale w zadostojności prawdziwego głodowi trwania, — w ogromnej, zdrowej, łącznej miłości ducha i ciała, w świadomym tworzeniu świeżych, coraz doskonalszych pędów istnienia, w dostojności i dumie moralnej, w mocy charakteru człowieczego.

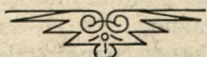
Zarówno niewnikliwym jest alarmowanie o wyzbyciu się estetyki (która dziś jest poniekąd parodią klasycznego piękna), jak i biadanie nad rozluźnieniem węzłów rodzinnych, a raczej małżeńskich, gdyż ani mężczyzna potrzebuje obrony, ani się zapiera ideału ojca-stworzyciela, choć poczucie to słabnie w nim i przytępia się bardziej, niż w kobiecie, ani też swoboda myśli, uczuć i dążeń do szerszych celów jest rozwiązłością, — przeciwnie: przy wspólnej, użytecznej, mozolnej pracy ludzie łatwiej potrafią ocenić właściwości i zalety wzajemne, łatwiej się przed zawodem i rozezarowaniem uchronią, łatwiej poznają wady i napiętnują je.

Naprzód więc, naprzód!...

Precz z bez-ideową drobnostkowością przesądów, zacieśniających przestworza horyzontów myśli śmiałej! Precz z trętwiąciami przywilejami bezsilności, skostnienia, niedołęztwa i kretynizmu! Precz z flirtem banalnym i zmysłową kokieteryą, z upodobaniem w sparodyowanych, krępujących swobodę ruchów strojach, z głupią, rozbawioną pustotą lekkomyślności, z życiem po nad stan i najniezbędniejsze, nieodbite potrzeby, z wszelkimi sromotnemi upadkami zleniwiałego ducha!...

My, kobiety-Polki, my — których cnotom poezya poświęciła swoje najczystsze, najjaśniejsze karty, my — ciche przodownice kultury, rzeczniczki odrodzenia cywilizacyjnego, bojowniczkami o święte prawa przynależne kobiecie, ubóstwiane mistrzyni słowa i artystki, matrony poważne, skromne zawodowe pracownice i młodzieczne towarzyszy, płonące myślą i sercem niezmoconem jeszcze, — my wszystkie musimy bardziej jeszcze zmęczyć, uodpornić się, niezależnie i usamodzielnąć, musimy stać się wyzwolenniczkami o wyższym polocie, nosicielkami idei, — nie owczego pędu, a głębokiej świadomości potrzeb, musimy się wyzbyć wielu win i błędów wielu.

Siekierz-Ciechińska.



Dzieci w zbytkach chowane stają się rozpieszczone, zleniwiałe i wyrabiają w sobie „przeczulone“ nerwy, co potem w życiu — stwarza bardzo złe następstwa.

Przedewszystkiem, przy pomocy zbytku poczyna wschodzić i kiełkować samolubstwo. Ilekroć na to dowodów codzienna prawda życia przynosi, ilekroć razy udowadnia nam doświadczenie, iż ci, którzy w ubóstwie i twardych okolicznościach wychowywali się, o wiele skłonniejsi byli do ofiar, do zaparcia się, do poświęceń nawet wielkich, a przeciwnie z dziećmi, wychowanymi wśród zbytku i przesady, stawali się ludzie zimni, jak głązy, ludzie, którzy ani jednej łzy nie otarli, jednego sieroctwa nie pocieszyli.

Ci, którzy nawykłą za młodu do rozmaitych wygod i zbytków, mają potem pragnienia coraz większe. I tego im jeszcze za mało i tamtego jeszcze trzeba, a tak w zakreślaniu coraz szerszych pragnień czują znów trwogę, aby im czego nie ubyło, aby czego nie zabrakło. Więc choć mają dużo, bardzo dużo, dziesięćkroć i pięćdziesiątkroć więcej niż inni, jeszcze boją się ku miłosierdziu i liłości zbliżyć, jeszcze boją się uczynić cośkolwiek bodaj dla sprawy szlachetnej, ażeby siebie nie zubożyć i sobie nie odjąć kropli z puharu przepelnionego.

Czyż tak się nie dzieje?

Wieleż jest spraw w narodzie ważnych aktualnych, piekących, że tak rzekę, które potrzebują poparcia ludzi możnych, którym potrzeba koniecznie ofiarności obywatelskiej.

A jednak — nie wchodzi w życie, bo ci, co są bardzo zamożni, którzy mają wiele bogactw, zbytku i przepychu, nie mają uczucia solidarności.

Wychowanie zrobiło z tych ludzi samolubów, a najpierwsze podstawy pod siebie tego pasożytnego zielska, dało nawyknienie do zbytku i przepychu.

Gdy idzie stawka o szczęście dziecka, to musi być pewna wygrana. Nie wygra tam życie, gdzie się nie rozsypie perłami dobrych czynów długi szlak drogi, wiodącej do służby ofiarnej dla społeczeństwa i rodziny.

Gdy dziecko nawykać pocznie wcześniej do oszczędności, nie roztrwoni marnie ojcowizny, nie sprzeda komisji kolonizacyjnej drogiego zagonu, nie będzie długami krzywdziło społeczeństwa, nie sprzeda swej uczciwości, ani prawości za posiadanie grosza lub tytułów marnych, a już przez to samo bardzo wiele dobrego uczyni.

Gdy dziecko nawykać pocznie do oszczędności codziennej, nie będzie rozbudzało w sobie pragnień nigdy nienasyconych, oceni i uszanuje pracę pocziwą, pozna, iż i ci ludzie godni są naszego towarzystwa, którzy przepychem się nie otaczają, zbytków nie znają, ubogo mieszkają, skromnie się ubierają.

Dziecko przyzwyczajone do oszczędności choćby później otoczyło swe życie dostatkiem, nigdy lekkomyślnie rozrzucac grosza nie będzie. Co zaś ważniejsze, nie będzie uważało przepychu za szczęście. Potrafi zastosować się i w razie potrzeby, gdyby nawet do ubóstwa wrócić musiało, nie będzie rąk łamać, nie będzie tłuc głową o mur, nie rozkrwawi sobie życia rozpaczą. Ilekroć w historii znaleźli ludzie wielkich, których pamięć nigdy

Nad kolebką dziecka, które jeszcze nie umie dojrzeć tej kolebki, już matki rozpinają skrzydła zbytku i niemi poczynają życie otaczać. Ledwie dziecina żyć poczęła — już pierwszą myślą i troską matki jest, jak je ubrać pięknie, jakimi koronkami otoczyć kożuski, jak wyhaftować kołderkę, czem przyozdobić wózek. Gdy się ta myśl o strojeniu dziecka raz zbudzi, plecie się już wiecznotrwała i nigdy nie zgaszona, bez końca.

Tak; — zbytek postawiony bywa przy duszy dziecka i oszczędności ani się zbliżyć nie da, a tem samem psuje tkaninę szczęścia. Od koronek, jedwabów, puchów miękkich i wszelkich wygod począwszy, pragnie matka wieść dziecko przez życie całe, dogadzając mu we wszystkim i zawsze, ani razu nie wskazawszy na cień szarej, cichej oszczędności.

— Co tam dziecku odmawiać?... — tłomaczy mamusia, — na to ono dzieckiem, aby nie znało żadnych trosk, aby wszystko miało, czego pragnie.

— Czy miałabym serce zabronić mu tego? wszak stać nas na to, a więc niech dziecko używa!

Tak rozumując matki — zezwalają, a nawet same nakłaniają do grymasów, wymogów i pragnień psujących tylko charakter.

Jest w tem ogromna, niepojęcie wielka wina wychowania, gdy naród niema silnych i zawsze do poświęcenia zdolnych ludzi, a przyzwyczajanie do zbytków, do wygod, do przepychu, wytwarza właśnie tę ujemną stronę ducha. I historia zanadto wiele daje nam przykładów zbyt wymownych na dowód, czem stawały się w dziejach narodów czasy zbytku i rozrzutności.

Bardzo wiele matek dlatego tylko popełnia ów błąd pedagogiczny w wychowaniu dzieci, iż z fałszywej zasady sprawę tę rozbierają. Sądzą one, iż z rozwojem inteligencji, rozszerzeniem świadomości i wysubtelnieniem uczuć, musi iść w parze zbytek, oraz przesada we wszystkim: w ubraniu, w mieszkaniu, jedzeniu i t. d.

Matka-obywatelka ma to przeświadczenie, iż jej dziecko nie mogłoby się obejść bez aksamitów, jedwabów, koronek, paszтетów, tortów, win i t. d.

Żona urzędnika sądzi, że jej dziecko musi się inaczej wychowywać, jak dzieci szewców, krawców, robotników. Więc nad możność i nad potrzebę wysila się na to, ażeby tylko dać dziecku najlepsze jedzenie, najwygodniejsze otoczenie, najpiękniejsze suknie.

nie wygasa, a właśnie stali się takimi przez to, iż zbyt nie znali, oszczędnością ducha hartowali.

Jest stara baśń, zapisana między „klechdami“ Wójcickiego, która przesłownie opowiada rzecz następującą:

— Była królowa „Prostota“ i rządziła naszym krajem, a wtedy szczęście panowało wszędzie od krańca do krańca. Zazdrościł tej królowi szczęśliwego panowania król wicz „Zbytek“ i wybrał się na wyprawę, aby ją pokonać. Wysłał rozmaitych gońców naprzód; to „Przepych“ jechał w złocistej karecie, to „Moda“ sunęła pyszna i nadęta, to „Wygoda“ wciskała się, którą mogła. A tak po trochu, powoli poczęła się w tem lubować i „Zbytek“ kraj opanował, a królowę „Prostotę“ wygnał z kraju. Szła biedna, spłakana, nieszczęśliwa, wypędzona i wzgardzona.

Nie chcieli jej już przyjąć ani w pałacach, ani w dworach, nawet dworki szlacheckie ją odrzucały. Tylko lud w chatach ją przytulił i tam ona jeszcze do dziś dnia mieszka, ale z płaczem spogląda na nędzę i upadek kraju.

Baśń ta daje przykład, ile złego robi zbytek, a jak wiele szczęścia przynosi prostota i oszczędność.

Oszczędność w wychowaniu dzieci musi być stale przestrzegana.

Dziecko napiera się zabawek coraz nowych.

— Nie można, moje dziecko. Tatusz ciężko pracuje na pieniądze, nie może ich wydawać na płochę i lekkie zabawki. Baw się temi, które masz; — lepiej pieniądze dać na trzewiczki takiej sierocie, która bosiuteńka po mrozie biega.

Dziewczynka pragnie nowej sukienki, tamta wydaje się jej brzydka i za uboga.

— Nie mamy pieniędzy na nowe suknie. Lepiej złożyć te grosze do kasy oszczędności, niech będą schowane tak, aby ich nie ruszyć, a kiedyś użyte być mogą na rzecz bardzo użyteczną i dobrą.

— Dostałeś od dziadka pieniądze? Nie wydawaj na drobiazgi. Cóż ci z cukierków? Lepiej składaj do puszek, gdy podrośniesz, kupisz sobie coś bardzo dobrego i pożytecznego Tak z pieniędzmi.

Ale jest inna rzecz, nader ważna.

Nie tylko grosze trzeba oszczędzać i nie tylko dzieci uczyć tego, aby pieniądze składały dla jakichś pięknych celów.

Oszczędność zależy także na szanowaniu rzeczy posiadanych i oto nad czem dobre, sumiennie kierowane wychowanie musi czuć bezustannie.

Cóż z tego, iż dziecko schowa do skarbonki parę groszy, a psuje zabawki, drze książki, plami suknie, grymasi w jedzeniu.

Kto chce wyrobić silny i prawy charakter w dziecku, musi naginać jego nieuwagę do szanowania rzeczy, jego lekceważenie — do zrozumienia wartości wszystkiego, choćby i nie bardzo kosztownego, musi uczyć tego, iż z małych rzeczy budują się olbrzymie gmachy, a z szanowania książek, sukien, zabawek, powstaje oszczędność, która jest podwaliną szczęścia.

Krasicki pisze:

„Z małych się wielkie rzeczy sklejają i wznoszą,
„Z szelągów się, nie z złota, ubodzy panoszą,

„Nim się skleci z odrobin małych pieniędzy złoty —

„Nad miedzią zastanowić trzeba się nam poty,

„Póki ten lichy kruszec, srebru nie wyrówna,

„Od srebra, aż do złota praca niewymowna.

„Pierwszy szeląg schowany, co się w grosz pomnożył,

„Ten grunt milionowej fortuny założył...“

Już w „Panu Podstolim“ czytamy:

— „Starzy wykraczali mnogością, my — wyborem.“

Istotnie tymi wyborami oszczędność grzebiemy i zamiast hartować młodą wolę, zamiast rzeźbić młode serca rylcami cnoty, my w wiotkie trzciny zamieniamy dęby.

Gdyby choć te wszystkie omyłki wychowania szczęście dawały!... Lecz czyż nie widzimy dziś przesyconych, znudzonych, zgnusniałych, leniwych? Wygody, przysmaki, pieszczoty, grymasiki wytwarzają ludzi miękkich, jak z bawełny.

Twarda szkoła oszczędności daje bohaterów

— Nie drzyj sukienki, nie kupię ci nowej. Sukienka kosztuje dużo, obaczysz, ilebyś musiała się napracować, zanimbyś sobie sama na sukienkę zarobiła.

— Za to, żeś poplamiał zeszyty, zniszczył książkę, zgubił szczyryk, za takie lekkomyślne nieposzanowanie rzeczy, musisz być ukarany. Nie będziesz w teatrze, nie pojedziesz koleją na wycieczkę, nie dostaniesz owoców przez tydzień.

— Ty wyrzucasz niedbale z szafki rzeczy, mnisz bieliznę, brudzisz się bezustannie, w tem jest marnotrawstwo i zbytek. Za nim bieliznę uprano i wyprasowano, dość to pracy kosztowało; przez ciągle czyszczenie zbrudzonego ubrania, ono się niszczy, to wszystko podkopuje dostatek i może doprowadzić do ruiny.

Nie jeden raz dobrze jest także zwracać dzieciom uwagę na osoby znane, które przez oszczędność doszły do dostatku lub przeciwnie, przez zbyt utraciły majątek. Wiem z doświadczenia, że takie przykłady robią wielkie wrażenie, a dużo jest osób, które dla niezrozumianych powodów kryją przed dziećmi prawdę życia, która wszakże jest najlepszą mistrzynią, chociaż bardzo surową.

— Widzisz, ten człowiek, znalazł go, był ubogi, dziś dla dzieci kupił śliczny dom. Nie wstydzil się pracy, oszczędzał, żył skromnie, każdy go jednak szanuje.

— Widzisz, ten pan jest dziś biedny, zchorowany, mało ma przyjaciół. Czy wiesz, jaką była jego młodość? Miał wszystko, czego zapragnął: konie, powozy, służbę; roztrwonil majątek, stracił zdrowie, a pracować się nie nauczył.

Nadzwyczaj dobrym środkiem pedagogicznym w tym kierunku jest wtajemniczenie dzieci w sprawy rodziców. Powiedzieć mu na uszko: „Nie myśl, że rodzice twoi są tak bogaci, jak ci się zdaje. Wydatki ich są wielkie, gdyby raz, drugi i trzeci zabrakło im grosza, mogliby wpaść w dług, a potem zmartwieniom nie byłoby końca. Nie myśl, iż to wszystko, co cię dziś otacza, jest trwałe. Broń Boże choroby ojca, a stalibyśmy się zupełnie ubodzy. Z wygodnego mieszkania trzeba by się przenieść do ciasnej izdebki.“

Pamiętam, jak ojciec mój powtarzał nam wielokrotnie: „Wy jesteście ubożsi od każdego dziecka na wsi, bo tamtym ojciec zostawi

choć po małym kawałku ojcowizny, a wy mieć nie będziecie ani tyle ziemi, co stopą nakryć. Wszystko pracą i oszczędnością zdobyć musicie.“

Ta nauka — przyniosła szczęście prawdziwe.

Jadwiga z Z. Strokowa.



Fr. Reinstein.

M A T K A.

(QUASI-HUMORESKA).



Mojem zdaniem, nic tak nie czyni kobiety nudną, jednostronną i banalną, jak macierzyństwo.

Pisząc to, duchem proroczym owiany, już z góry przewiduję zadane twarzyczki czytelniczek.

— Co on powiedział? Czy możliwe, aby pismo szanujące się, jak „Bluszcz“, mogło zamieścić coś tak dalece pozbawionego sensu? Jak to? A więc my, matki, istoty szanowane przez ogół społeczeństwa, osoby wyróżniane przez...

— Za pozwoleniem!

Jeżeli mamy polemizować, to chwyćmy za broń najszlachetniejszą, do której należą suche, nieublagane fakty.

Jeszcze przed trzema laty byłem mężczyzną szczupłym i wiotkim. Grywałem na cztery ręce z pannami, skazanymi na wydanie za mąż, interesowałem się sztukami pięknymi, literaturą, słowem wszystkim, co uszlachetnia człowieka.

Panna Zofia też była smukłą i wiotką. Grywała na cztery ręce, interesowała się sztukami i t. p.

Oświadczyłem się o jej rękę i dostałem „odkosza“, ponieważ pannie Zofii bardziej spodobał się Piotr.

W pierwszej chwili chciałem odebrać sobie życie, następnie rozmyśliłem się, — czego bynajmniej nie żałuję.

Zostałem przy życiu i to mi pozwala napisać feljton zjadliwy, lecz bezstronny, p. t. „Matka.“

Po trzech latach rozłąki z Warszawą, pozawczoraj powróciłem, wczoraj złożyłem wizytę państwu Piotrowstwu, dzisiaj zaś puszczam wodze moim myślom i piszę bez najmniejszego cienia chęci poniżania kogokolwiek, w celu wywyższenia mojej własnej osoby.

Z tem wszystkim ukryć (nie podobna, iż nie ożeniwszy się, jestem jeszcze bardziej szczupłym i wiotkim jak przedtem, grywam w dalszym ciągu na cztery ręce, interesuję się... i t. d.

A panna Zofia, jakie i czy wogóle zaszły zmiany w pannie Zofii?

Otóż niema panny Zofii. Należy ona do przeszłości; jest mytem na równi z Popielem, którego myszy zjadły.

Zamiast panny Zofii jest pani Piotrowa. Wyrzążę się jeszcze dobitniej: zamiast szczupłej i wiotkiej dziewczycy, jest matka.

Przychodzę, jak za dawnych czasów, otwieram dekę fortepianu, rozkładam „Symfonię pastoralną“ Bethovena, i mówię prosto z mostu, szczerze, otwarcie:

— Zagramy, proszę pani, część pierwszą.

Wzamian otrzymuję odpowiedź:

— Nie zagramy, proszę pana, części pierwszej ani następnych.

— Jak to mam rozumieć?

— Literalnie. W tej chwili jestem zajęta zupełnie czem innym. Niania przygrzewa właśnie kąpiel dla Józia.

Odpowiedz nie podoba mi się. Marszczę czoło i mówię kwaśno:

— Jestem ciekaw, co może mieć wspólnego kąpiel Józia z „Symfonią?“

Właśnie nie ma zupełnie nic wspólnego i z tego powodu nie będą grała.

Było to wypowiedziane stanowczo i w tonie postanowienia nieodwołalnego.

Przekonany do pewnego stopnia, rzekłem:

— Ha, jestem zmuszony uleść kaprysowi pani. W takim razie odrzućmy muzykę i przystąpmy do krótkiego przeglądu dzieł sztuki za ostatnie trzy lata. Co pani myśli o obrazach przeczystych Wyspiańskiego, o autolitografiach Rivier'a, o posępnych akwafortach Stucka?

— Myślę, że po kąpielii nakarmię mego kochanego malca.

Wzdrygnąłem się i pochwyliłem za kapelusze.

— Żegnam panią, sądzę, że po tem, co zaszło..

Uśmiechnęła się dobitnie.

— Ależ, co znowu! Przeciwnie, proszę, zostań pan na herbacie. Piotrusia tylko co patrzeć, będzie ogromnie uradowany. Załatwię się i będę zupełnie wolną. Wtedy..

Zostałem. Od pokoju, w którym rozgrywały się misterya kąpania, przebierania i karmienia Józia oddzielały mnie cienkie drzwi. Do moich uszu dochodziły dyalogi pełne płytkiej prozaiczności. Słyszałem wyrażenia niewybredne do najwyższego stopnia, że wymienię: „gąbka“, „pod krzyżykiem“, „kaftaniczek“, „piąstki“ i wiele innych, za których powtórzenie w druku osoby drażliwe najuniżejnie przepraszam.

Rozmowa matki z dziećmi, z nianią i z samą sobą przeciągała się do nieskończoności. Jako człowiek dość długo żyjący na świecie i tem samem doświadczony, domyślałem się oczywiście istnienia kobiet o niskim locie. Lecz nie przypuszczałem, iż są na tej ziemi istoty zupełnie odarte z dążeń wyższych, istoty porzucające fortepian dla obcowania z niemowlętami — lub nianiami o niższym poziomie intelektualnym.

Skrzypnęły drzwi i ukazał się Piotr. Od czasu ostatniego widzenia się naszego zbeczkował, że się tak wyrażę. I on był niegdyś Farysem objętości 38 centymetrów i on grywał na cztery ręce, interesował się sztukami wyzwolonemi, literaturą, a nawet z „wyboru dzieł“ Mickiewicza, do stambuchu panny Zofii, przepisywał wiersze.

— Wiesz co? — rzekłem po ukończeniu ceremoniału powitalnego, — usiądźmy do fortepianu i odświeżmy nasze dawne wrażenia.

Spojrzał na mnie wzrokiem d-ra Rafałowicza.

— Do fortepianu?

— Zdaje mi się, że nie wyraziłem się językiem malajskim.

— Do fortepianu?... Po co?

Straciłem równowagę moralną i o mało nie fizyczną.

— Po cóż się siada do fortepianu? Aby grać!

Piotr poprawił mnie tonem wytrawnej nauczycielki francuskiego.

— Chciałeś powiedzieć zapewne: „aby obudzić Józia?“

W salonie ukazała się pani Zofia. Trzymała na ręku organizm kształtu pośredniego, pomiędzy ugotowanym rakiem i gęsią, starannie oskubaną z pierza.

Nie mogłem żadną miarą zrozumieć źródła uśmiechu promienistego, rozlanego na jej twarzy. Była podobną do śpiewaczki, która po wykonaniu ryzykownej ary koloraturowej obarczona furą kwieciami i zagłuszona okrzykami tłumów rozentuzymowanych, składa ukłon po raz jedenasty.

Nastąpiła krótkotrwała apoteoza nietaktu. Piotr zbliżył się do żony i przyłożył usta do jej czoła, ona przyłożyła usta do jego czoła, nieletni Józio osunął się na łono matki i przyłożył usta...

Zwracam się z uprzejmem zapytaniem do czytelniczek:

— Czy w podobnych warunkach można myśleć o wykonywaniu dzieł Beethovena lub chociażby Mascagni'ego? Czy jest to pora odpowiednia do wygłoszenia opinii w rodzaju:

— Bo jakkolwiek kierunki modernistyczne literatury mogą się nie podobać tym lub owym, — em nie mniej, biorąc na uwagę...

Przytem Józio kichnął.

Ludziom obojętnym zdawaćby się mogło, iż kichnięcie Józia po kąpielii na rodzicach z wykształceniem Piotra i Piotrowej nie wywrze głębszego wrażenia.

Boże mój! Ileż to razy kichałem w życiu, ile kichali moi krewni, powinowaci, przyjaciele i znajomi!

— Józio kichnął!

Oczy dawnej panny Zofii, zatrzymały się nieruchomo na okrągłej, mało inteligentnej twarzy dziecięcia.

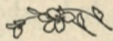
— Józio kichnął!

Piotr pochylił się nad porcją sadła, w żargonie rodzicielskim przezwaną Józkiem. Przypominał mi w tej chwili taksatora lombardowego, który okiem uzbrojonym w lupę szuka rysy w kamieniu brylantowym.

— Józio kichnął! — zawałałem ze złością już nie tajoną. — Ziemia się obruszyła w posadach! To niech sobie kicha! Żegnam państwa! Odchodzę. Tu mnie już nikt nie rozumie, nikt nie umie podzielić moich uczuć dla wszystkiego, co wzniosłe i piękne, dla wszystkiego, co nas posuwa ku doskonałości. Wasz nieznośny Józio, uważam wyparł z tego domu Beethovena, obniżył wartość moralną Dantego, podważył autorytet Taine'a, nadwyrężył piedestał, na którym zajęli miejsca obok siebie Sokrates z... Tetmajerem i Chelmońskim!..

W tem, co mówiłem, czulem to, brakowało logiki, lecz i irytacja moja była bardzo wielka. To odbiera panowanie nad sprężynami, wprawiającemi w ruch myśli ludzkie.

Opuściłem dom Piotrów z jednym kaloszem. Drugi pozostawiony w przedpokoju niechaj stanie się ciężkim wyrzutem, zwłaszcza dla niej, dla... jakby się tu wyrazić złośliwiej, dla... dla matki!



Marya Łopuszańska.

OBRAZY Z PRZESZŁOŚCI NIEWIAST.



(Ciąg dalszy).

Ostatnią jej zachcianką było, aby Samassumukin został niepodległym władcą Babilonu, a on, spełniając jej wolę, dziś właśnie postanowił bunt podnieść przeciwko potężnemu bratu, królowi królów. Wiedział dobrze, na co się naraża, wiedział, że wspólność krwi nie osłoni go przed straszliwą karą, czekającą go w razie porażki, ale wpływ Mylittę okazał się silniejszym nad wszelkie wskazówki rozsądku; ona potrafiła w nim rozpalic nie tylko pożar żądz, ale i ognisko niepohamowanej ambicyi, która go pchała ku niebezpiecznym przedsięwzięciom, ku zdobyciu nieograniczonej władzy.

Mylittę leżała wsparta na kosztownem węgłowiu, niewolnik zaś grał, uderzając w struny instrumentu, przypominającego kinor hebrajski. Niewolnik ten pochodził z Medyi, a więc grał pieśni swojego ludu. Gdyby kto wszedł wówczas do komnaty, ujrzałby, jak dumne, okrutne w swym spokoju oblicze Mylittę przeobraziło się zupełnie; ukazała się na niem tęsknota, a nawet coś jakby łza błysnęła w jej oku.

A niewolnik śpiewał o pięknych, żyznych dolinach Medyi, na które Ahuramazda, najwyższy Bóg zlał wszystkie swe błogosławie-

stwa: gdzie wśród lasów i gajów szemrzą chłodne strumienie, a suchy, złowrogi wiatr pustyni nie zagłada nigdy prawie. Tam ptaki, przelatując z gałęzi na gałąź śpiewają o miłości, tam róże kwitną a słońce świeci łagodnie. Tam mieszka lud szlachetny, który nie pragnie podbojów, brzydzi się kłamstwem, czci Ahuramazdę oraz jego naukę, i kocha swą ziemię rodzinną. Tam szczęście, tam radość, tam życie...

Śpiewaj niewolniku, śpiewaj dalej, bo oto przed okiem branki zaczynają powstawać dalekie i zamglone obrazy. Widzi przed sobą wonne i cieniste ogrody Ekbatany, po których biegała dzieckiem, następnie dziewczą, widzi się wreszcie małżonką Pharnesa, miłującą i umiłowaną, równą mu towarzyszką, królową w domu jego.

Słyszy jeszcze słowa, które były wyrzeczone przy ich zaślubinach, słowa ksiąg świętych: „Ludzie jesteście, rodzicami żyjących jesteście, jesteście stworzeni przeze mnie czyści i doskonałego umysłu; czyńcie dzieła zakonu doskonałym umysłem; dobre myśli myślcie, dobre słowa mówcie, dobre dzieła czyńcie i nie składajcie ofiar złemu.“ Żyli szczęśliwi, czysti, i dobrzy, bo miłowali się wzajem i starali się pełnić zakon Ahuramazdy, zakazujący wszelkiego brudu i fałszu, aż napadło na ich kraj owo zbójceckie plemie assyryjskie, które oddawna już próbowało zhołdować ziemię medyjską, lecz Medowie wciąż im się opierali i bronili walecznie. Pharnes, będąc jednym z wodzów, pochodzących z rodów książąt, walczył do ostatka na czele swych zastępów, lecz pokonany, dostał się do niewoli wraz z żoną, dzieckiem i całą rodziną. W drodze do Niniwy dziki wojownik assyryjski zamordował dziecko, ponieważ było za słabe, by znieść długą podróż przez pustynię. Mylittę własnymi oczami patrzyła, jak zabijano jej syna; potem, po przybyciu do Niniwy, przyszła kolej na męża, który przed śmiercią prosił ją, by go pochowała według przepisów Zarathustry, zakazujących zwłoki powierzać ziemi, ogniewi lub wodzie, lecz zalecających oddanie ich na pożarcie ptakom niebieskim. Mylittę dostała się jako branka bratu króla Assurbanipala, lecz zdołała ubłagać swego władzcę, że jej pozwolił pozbiierać krwawe szczątki i wynieść za miasto, na puste wzgórze, jak to nakazywał święty zakon Ahuramazdy. I pustynia, cicha, pogrążona w zmrokach nocnych, wielka, szeroka pustynia chętnie przyjęła zwłoki Pharnesa; zdawała się szeptać do Mylittę: „Oddaj mi je, te umiłowane przez ciebie szczątki; przyłecą ptaki ze stron dalekich i rozniosą na szponach ciało, aby niegniło i nie stało się pastwą robactwu,—przyleci wiatr, mój wysłaniec lotnoskrzydły i wysuszy oraz wybieli kości. I będą one leżały tam na wzgórzu skalistym i patrzeć będą w niebo martwemi oczodołami, i nie zamąci im spokoju. Oddaj mi je,—nie bój się: zwierz dziki, co mię zamieszkuje i ptactwo drapieżne lepsze jest od ludzi,—zabija, lecz nie dręczy. Oddaj mi je, jam jest cisza i spokój wieczny.“ I odeszła Mylittę, powierzając pustyni ukochane zwłoki, ale i dusza jej pozostała tam przy nich. Obojętnie przyjmowała odtąd wszystko, czem ją los darzył; ona czysta i dumna

małżonka Pharnesa, dostała się do haremu assyryjskiego księcia, aby nasycić jego żądze, i stać się cackiem, które miał odrzucić niedługo po nasyceniu się niem;—z wolnej i szanowanej stała się niewolnicą, zbrudzoną uściskami swego pana, lecz wszystko to zdawało się nie obchodzić jej wcale. Niebawem jednak z niewolnicy zamieniła się we władczynię i objęła niepodzielne rządy nad sercem i wolą Samassumukina... Niewolnik przestał spiewać i Mylitte również otrząsnęła się ze swych wspomnień. Wszak to dziś spełnić się mają jej upragnione życzenia: Samassumukin ma wypowiedzieć rokosz swojemu potężnemu bratu, królowi królów. Wyraz tryumfu odbił się na twarzy Mylitty; zerwała się z wezłowania, wzniosła ręce nad głowę i wpatrzyła się w dal przed siebie, a oczy jej gorzały, jak dwie pochodnie.

Nagle na ulicach Babilonu rozległy się okrzyki wydawane na cześć Samassumukina, jako niezależnego władcy całego kraju.

Więc się już stało, co się stać miało! Samassumukin wstąpił na drogę, z której nie ma powrotu, i to ona go do tego skłoniła!

Rychło bardzo wieść o buncie braterskim doszła do Niniwy, do uszu potężnego króla, Assurbanipala. Zebrał tedy wojsko i pospieszył pod mury Babilonu, by ukarać brata. Cóż się stanie z tobą, zuchwały buntowniku? Oto już grzmiały wozy wojenne, oto nadchodzą chmury wojowników, a wśród nich, on, władca groźny, król królów, on, straszny, mściwy i potężny...

Szturm się rozpoczął do murów Babilonu: Samassumukin zbiera wszystkie siły, aby się bronić, bo wie, że czeka go straszna śmierć, w razie, gdyby się dostał w ręce braterskie. Więc lecą strzały i pociski z murów, o które walą tarany Assurbanipala, i niejeden już w nich wyłom uczynił.

Wieczór zapada nad Babilonem. Mylitte, mając przy boku wiernego niewolnika medyjskiego, spieszy na daleki kraniec miasta, zamieszkiwany przez ludność najuboższą. Spieszy okryta zasłoną, aby przez nikogo nie być poznana. Zatrzymała się wreszcie przed mieszkaniem ubogiej powierzchowności, zapukała trzy razy, drzwi się otwarły... W progu stał czarny niewolnik, a za nim człowiek wysoki, poważny, w szerokiej medyjskiej szacie, z długą brodą, o wejrzeniu mądrym i przenikliwym, które zarówno zdawało się dobrze czytać w gwiazdach, jak i w sercach ludzkich. Siła jego wzroku spoczęła na Mylicie, obejmowała ją całą jakby falą niewidzialną. Było to spojrzenie władcy, któremu oprzeć się było niepodobna. Mylitte pochyliwszy kornie głowę, ucałowała brzeg jego szaty i czekała na pytania z jego strony z poddaniem niewolnicy.

— Niewiasto,—zapytał ją mag,—co zamysłła uczynić wróg nasz? Czy ma jeszcze jaką nadzieję zwycięstwa?

— O panie, Samassumukin postanowił bronić się do ostatka, a kiedy przyjdzie chwila, iż utraci ostatnią nadzieję, wówczas spłonie na stosie, aby się nie dostać w ręce króla Assurbanipala.

— Czy wciąż jednaką darzy cię ufnością?

— O panie, on patrzy tylko mojemu oczom, słyszy mojemu uszom.

— Dobrze, prowadź go dalej ku owej przepaści osłoniętej kwiatami, a skoro ona go pochłonie, ty staniesz przy boku króla Assurbanipala, aby i jego wieść po tej samej drodze?

— O panie, jakóż to się stać ma, skoro Samassumukin chce bym umarła z nim razem?

— Bądź spokojna, ja cię w ostatniej chwili ocale,—wierz we mnie... Nawet gdybyś na stos już wstąpiła,—nie trać nadziei,—ja przyjdę po ciebie!...

Głos jego zabrzmiał z nadzwyczajną mocą, oczy miały wyraz wszechwładny, który wlewał wiarę i ufność nieograniczoną. Mylitte znów pochyliła głowę z wyrazem posłuszeństwa, lecz po chwili, coś jakby odbłask buntu mignęło w jej spojrzeniu.

— O panie, tyś rzekł kiedyś, że panowanie wroga skończyć się ma niedługo, że kraina nasza znów stanie się wolną i szczęśliwą, jak dawniej.

— Tak, będzie wolną i szczęśliwą, jak dawniej i ty dopomożesz do tego.

— Więc przyjdzie ów dzień upragniony! I ja go ujrzę?

— Ujrzysz, gdy będziesz mi posłuszną. Ahryman ukazał się potężniejszym od Ormuzda, on do zguby wiedzie Samassumukina, on kiedyś pokona potężnego Assurbanipala — jemu więc służmy, jemu ofiary składajmy. — O, patrz,—rzekł wiodąc ją ku oknu i wskazując na niebo gwiazdziste,—ta krwawa gwiazda, co tam świeci na Wschodzie, to Assyrya—gwiazda, ludu zbójców i drapieżców. Wczoraj wszedłem na wieżę i długom się w nią wpatrywałem, aż płomień mojego wzroku, pełnego nienawiści, począł działać na nią. Z krwawej stawała się zieloną, jako twarz trupa, leżącego na pustyni i przeznaczonego na pożarcie ptactwu dzikiemu... Wierzaj mi, Assyrya wkrótce stanie się trupem; — przyłecą z dalekich stron sępy dzikie i rozszarpiają jej cuchnące cielsko. Ahryman to sprawi,—on jeden potężny, on jeden wszechmocny, on jeden lituje się nad słabym, który jęczy w jarzmie. A wzniosłszy ręce w górę począł wzywać boga zniszczenia w te słowa:

— O wielkie bóstwo niszczące, Ahrymanie potężny, wzywam cię! Ześlij zastępy sług twych i pomocników, Diwów posłusznych tobie, niech zleją powódź klęsk na przekłętą Assyryę. Niechaj wody jej staną się gorzkie i napełnią się gadami, niech spiekły wicher pustyni zniszczy jej plony, niech potęga jej zamieni się w garść prochu, podobną tej, którą teraz na wiatr rzucam!

To mówiąc, podniósł z ziemi garść piasku i rzucił przez okno, aby go wiatr rozniósł po świecie.

— Idź—że tedy, córko moja—rzekł,—zwracając się do Mylitty, idź i dopomagaj Ahrymanowi w pełnieniu dzieła zniszczenia.

Nadszedł wreszcie dzień straszliwy, kiedy zwyciężkie hufce Assurbanipala wdarły się do Babilonu. Słońce lało swe olśniewające, bezlitosne promienie na miasto, którego potężne wieżycy tonęły w jasnym, niesplamionym żadną chmurką lazurze. Tylko tam gdzieś w górze unosiły się stada sępów, wietrzących żer przyszły.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Koronki francuzkie.

52

Koronkarstwo, jedna z najdawniejszych i najsłynniejszych gałęzi ręcznego przemysłu artystycznego we Francji, zagrożone jest upadkiem, a fakt ten jest niepokojącym nie tylko ze względów ekonomicznych, gdyż pociągnąłby za sobą zubożenie setek tysięcy robotnic, ale nadto—i przede wszystkim z punktu widzenia artystycznego, nigdy bowiem najdoskonalszą nawet maszyną wykonane szablony nie potrafią zastąpić oryginalnych, indywidualnością artysty nacechowanych i często też do indywidualności odbiorcy zastosowanych utworów ręcznych.

Liczne rodzaje koronki francuzkiej rozpadają się na dwa główne działy: koronki *klockowe* i koronki *robione igłą*. Każdy z tych działów znajduje się w odmiennych warunkach i gdy pierwszemu zdaleka dopiero ukazuje się widmo upadku, to drugi przechodzi krzys już w najcięższym stopniu.

W krainie klocków.

Velay nad Loarą, jest to miejscowość skalista, śniegiem pokryta, pustynna, tu i ówdzie tylko gruppami sosen i jodeł najeżona, o domkach niskich, tulących się do stóp wysokiej skały Corneille, sterczącej tu smutnie, podobnej do zbląkanego olbrzyma.

A jednak ten emmentarz pozorny pełnym jest życia i małych dźwięczących melodyi, tu bowiem, w tym dzikim zakątku ziemi rozpostarła swe panowanie koronka klockowa. Niema targu, któryby co do koronek mógł współzawodniczyć z tym krajem; z miejscowości Puy i Craponne wychodzą codziennie całe kilometry koronek, roztaczające się po całym świecie.

Każdy dom ma swoją „izbę koronkarską.“ Skromna to izba, otoczona dokoła wysokimi szafami z naturalnego drzewa, jakby wrośniętymi w ściany. Na podłodze rozciąga się gruba słomiana rogózka, na niej, na niskich krzesłkach siedzi dokoła 6—10 koronkarek. Każda ma na kolanach t. zw. „carreau“ (kwadrat). Jest to kwadratowa skrzynka, powleczone wedle gustu i środków, perkalem, jedwabiem, aksamitem lub wełną. Wewnątrz skrzynki osadzona jest ściśle wałkowata, mocno na pchana poduszka, na której umocowany jest na czerwonym kartonie narysowany i przekłuty wzór. Z obu stron skrzynki i koronkarki zawieszono są klocki.

Ona z oczyma zwróconemi na deseń, przebiera palcami klocki, rzuca je szybko w lewo i w prawo, spaja i krzyżuje nitki, od czasu do czasu wtyka w czerwony karton jedną z niezliczonych różnokolorowych szpilek, zatkniętych w poduszkę. Widać tylko ruch rytmiczny rąk, a słychać nieustanne uderzenia klocków z drzewa czereśniowego. Koronkarka nigdy się nie pomyli: z pomiędzy 150 lub 200 klocków, które ją otaczają, pochwyca zawsze właściwy i potrzebny. I oto już od 500 lat klocki czereśniowe koronkarek z Velay spiewają swą rytmiczną, monotonną pieśń!

Liczba zajętych w tym kraju koronkarek

nie jest ściśle oznaczoną; sami Velanie obliczają ją na 200,000, co jednak zdaje się być przesadnym. W każdym razie, cała ludność tego kraju jest zagrożoną, jeżeli ten przemysł, który żywi tysiące rodzin, upadnie.

Niebezpieczeństwo zaś zbliża się z dwóch stron.

Przedewszystkiem maszyna grozi zabiciem przemysłu ręcznego specjalnie w tej gałęzi koronkarstwa. Cały ten olbrzymi warsztat, obejmujący co najmniej 100,000 pracownic, stoi pod handlowem kierownictwem 250 fabrykantów, których obrót roczny wynosi 12—15 milionów franków.

W jakim stosunku jednakże stoi zarobek robotnic do tak wielkich zysków pośredniczących kupców? Oto najlepsza robotnica zarabia za 12 godzin natężonej pracy, wymagającej największej uwagi — 1½ franka dziennie, a przeważna część robotnic nie otrzymuje nawet całego franka! Pomimo tak niskiej płacy, koronki klockowe ręczne poczynają nie opłacać się fabrykantom, wobec szerzących się wyrobów maszynowych. Metr koronki maszynowej, fabrykowanej w Calais wypada fabrykantowi 54 centymy, ten sam wzór, wykonany ręcznie, kosztuje go 1 fr. 70 cent. Velay przy obrocie 15-milionowym dostarcza ¼ koronki ręcznej fabrykantom, Calais zaś samo ma z koronką maszynową obrót roczny 55—65 milionów franków. Jest to konkurencja, której na długo nie będzie się mógł oprzeć przemysł ręczny koronki klockowej, a to tem bardziej, że grozi mu jeszcze drugie niebezpieczeństwo, t. j. stałe zmniejszanie się liczby robotnic, z powodu zbyt małych zarobków. Tylko pomysłowość fabrykantów zdołała dotychczas jeszcze powstrzymać kryzys ostateczny. Odnawiają oni często wzory, urozmaicają rodzaje wyrobów i materiały. W istocie koronki w Velay wyrabiają się obecnie z nici, bawełny, jedwabiu, lnu, złota, srebra, kordonków, włosienia, a nawet ze słomy i włosów kozich. Miejscowość Puy dostarcza wspaniałych wzorów koronek do bielizny stołowej, które obecnie tak bardzo faworyzuje moda.

W ogólności jednak Velay od dłuższego czasu zaniedbuje delikatniejsze rodzaje koronek, a wyrabia przeważnie koronki tanie, sądząc, że w ten sposób potrafi konkurować z maszyną. Jest to oczywiście wyrachowanie zupełnie fałszywe, gdyż jedyny ratunek dla przemysłu ręcznego nie leży w taniości, lecz w artystycznym wykonaniu. To też wobec wzrastającego udoskonalenia maszyn, a zupełnego prawie zaniechania artyzmu w koronkach klockowych ręcznych, upadek tej gałęzi koronkarstwa francuzkiego jest nieunikniony.

Inaczej rzecz się ma z koronką artystyczną, robioną igłą. Tu wprawdzie kryzys jest już w całej pełni, a jednak jest nadzieja uratowania tej cennej gałęzi przemysłu artystycznego.

Ocalenie koronki artystycznej.

Normandia jest ojczyzną wspaniałej koronki, znanej pod nazwą „Point d'Alençons“ (pochodząca od najważniejszej odmiany tych koronek), a dorównywającej kosztownością najcenniejszym klejnotom.

Jest pięć głównych ognisk koronki normandzkiej: Cayen, Bayeux, Courseulles, Argentau i Alençon. W r. 1823-im w samej prowincyi Calvados było 60—70.000 koronkarek, w r. 1834-ym było już ich tylko 30 tysięcy. W tym czasie fabrykant sprzedawał rocznie za 7½ milionów franków, podczas drugiego Cesarstwa ogólny zbytek podniósł produkcję do 12 milionów, ale już w roku 1872-im spadła znów poniżej 5-iu milionów. Wszystkie te liczby są olbrzymie wobec dzisiejszego stanu. W Alençon i okolicy jest dziś zaledwie 150 koronkarek, w innych miejscowościach po 4—500; w Argentau zajmuje się produkcją tylko klasztor Benedyktynek, razem ogólna ich liczba nie przewyższa o wiele 1,000. Piękna koronka Chantilly fabrykuje się już tylko w małej bardzo ilości; inne miejscowości wytwarzają po większej części walansienki i jedwabne koronki t. zw. „blondes“, a tylko Alençon pozostało przy swej produkcji najcenniejszej.

Młodych robotnic niema już wcale, a pozostałe z dawnych czasów są już na wymarcie. Dawniej płacono robotnicy po 3, 4 i 5 franków dziennie, dziś najlepsza płaca wynosi 1 fr., to też dziewczęta wiejskie idą do miast na służbę i nie chcą oddawać się zajęciu, które niszczy im wzrok, a nie może ich wyżywić.

Słowa wypowiedziane niegdyś przez Georges Sand, mają dziś jeszcze trafniejsze znaczenie: „Podróżny, widząc te czarujące wyroby, sporządzane ręką tych nędznych istot, dziwi się i oburza na myśl, jak mały jest ich zarobek.“ Bo też rzeczywiście trzeba poznać ogromną subtelność i mozolność pracy, włożonej w metr takiej koronki, i pomnożyć ją przez liczbę potrzebnych do tej pracy dni i godzin, aby zrozumieć całą jaskrawość przeciwieństwa między płacą a ceną sprzedaży.

Około 12-tu operacyi obejmuje wykończenie koronki Alençon. Gdy rysownik dostarczy wzoru, dzieli się tenże na liczne drobne kawałki na 10×20 cm., które umocowują się na zielonym pergaminie, poczem przekładują się wzór szpilkami. Każdy kawałek otrzymuje inna robotnica, która naszywa go na podwójnie złożonym grubym płótnie.

Teraz dopiero zaczyna się właściwa robota koronki, składająca się z siedmiu punktów: wykonanie „pola“, następnie „siatki“, zrobienie „tła“ pojedynczych wzorów, „wypełnienie“ tychże, „modelowanie“, czyli wykonanie delikatnych ozdób, „haftowanie“, czyli oznaczenie konturów, nareszcie „składanie“ pojedynczych części wzoru w całość.

Każda z tych operacyi jest specjalnością jednej z robotnic, i rzadko która umie wykonać dwa lub więcej punktów. To też nad jedną chusteczką pracuje siedm robotnic 100—150 dni, nie dziw więc, że kosztuje ona nie raz paręset franków. Z pracowni tej wyszły już prawdziwe cuda, między innymi słynna suknia cesarzowej Eugenii, która kosztowała 75.000 franków; suknia do chrztu dla cesarzewicza za 50,000 franków...

Obecnie rząd francuzki pracuje nad ocaleniem tej gałęzi przemysłu. Przedewszystkiem chce kształcić robotnice i podnieść ich płacę. W Alençon i w innych miejscowościach założono bezpłatne szkoły. Z drugiej strony

fachowi artyści starają się podnieść upadający przemysł przez podjęcie na nowo zaniebanych delikatnych gatunków i przez wprowadzenie nowych. Wielkiego sukcesu spodziewają się zwłaszcza po zupełnie nowym rodzaju koronki, w której nader delikatne wzory wyrabiane są różnobarwnym jedwabiem. Jest to t. zw. „dentelle polychrome.“



Romans Lucylli Desmoulins.



(Dokończenie).

Dni szczęścia.

Kamil i Lucylla skryli miłość swoją w wiejskim ustroniu.

Co za słodkie godziny dla ludzi, którzy się od tak dawna kochają, i wreszcie należą do siebie! Kamil cały oddaje się swemu szczęściu; sam o sobie pisze w liście, że jest „najszczęśliwszym z ludzi, i że niczego więcej nie pragnie na świecie.“ Lucylla jest towarzyszką oddaną, uroczą, powabną i uwielbianą. Przed ślubem Kamil ją *ubóstwiał*, teraz, *korzy się* przed nią.

Chcąc być bardziej oddaną mężowi i mieć go więcej dla siebie, Lucylla skłania go do zamieszkania na wiosnę 1791-go roku w domu rodziców w Bourg-la-Reine. Tam przeżywają dni rozkoszne, pełne spokojnie podzielanego szczęścia. Lucylla, która została wierna swjemu czerwonemu zeszytowi, w dalszym ciągu powierza mu swoje najskrytsze myśli, zapisuje w nim wiersze, które się odnoszą do ustronnej siedziby w Bourg-la-Reine:

Qui que tu sois, quand tu serais l'Amour,
Garde-toi de troubler la paix de cet asile,
Respecte ce riant séjour
De l'innocence et de Lucile.

Dom w Bourg-la-Reine znajdował się do niedawna w takim samym stanie, w jakim był przed stu laty. Stał przy brzegu drogi, idącej z Paryża, po prawej stronie, na początku wsi. Folwark ze swemi zabudowaniami wiejskimi, z bramą, mającą po bokach słupy kamienne zakończone kulami, z wielką studnią z łańcuchem i uszkodzoną cembrowiną; z oborą, stajnią, które przypominały budowle w Trianon. Wyobrażamy sobie w tem otoczeniu Lucyllę, bawiącą się w gosposię, dzwigającą wiązkę lucerny, którą karmi poważnie *swoje zwierzęta*. Oto kręci się, uwija wśród zabudowań, lub zwoluje kury, które biegają sobie swobodnie po pokojach. To znów siada na chwilę do fortepianu, lub zabiera się do robienia kawy.

Swawolna, jak chochlik, pokazująca ząbki, jak kot, powtarzająca swe ulubione zdania: „Co mi to szkodzi?...“, „To jest jasne, jak dzień!“ Czasami Kamil, widząc, z jaką powagą i przejęciem spełnia swe obowiązki gospodyni, wyśmiewa się z niej żartobliwie; ona udaje, że tego nie słyszy, wreszcie podniecona, przybiega i rzuca mu na głowę cały swój zapas tymianku i macierzanki, chcąc mu przerwać mowę, napełnia mu usta zielem „swemi rączkami o małych dołeczkach.“ „Masz, jedz, Hou-Hou!“ „Hou-Hou,“ to Kamil. — Lucylla zaś zwie się „Loulou,“ albo też „Poule à Cachan,“ na pamiątkę kury, którą widzieli walczącą z kogutem, w przejeździe przez wieś Cachan.

O zachodzie słońca przechadzali się w półcieniu zarośli, pod lipami, tworzącymi w ogrodzie aleję, lub spoczywali na ławkach kamiennych mchem porośłych.

Dramat po idylli. Noc pełna obaw.

Wypadki przybierając coraz ważniejszą postać w życiu Paryża, zmusiły Kamila i Lucyllę do porzucenia tego miłego ustronia i do powrotu do mieszkania przy ulicy Théâtre Français. I tu wiedli jeszcze życie odosobnione, ale już dzielili je z kilku przyjaciółmi: Dantonem i jego żoną, z Fréronem, Brune'm, naówczas dziennikarzem, równie jak i Desmoulins, a który miał zostać z czasem marszałkiem Francji.

I tu jeszcze życie ich było pełne szczęścia. Szósty Lipiec 1792-go roku jest datą radością w życiu młodych małżonków: rodzi im się syn, któremu Kamil, wierny wielbiciel starożytności rzymskiej, nadaje imię Horacego.

Od czasu ożenienia się, gorączka polityczna Kamila uspokoiła się. Podczas lata 1791 roku zaprzestał drukować swój dziennik. „Ty spisz, Kamilu, a Paryż jest niewolnikiem!” — wyrzuca mu jakiś poeta.

Ale Kamil nie spał: kochał i był kochany; wydarzenia walki wszczętej przez Rewolucję przeciw monarchii, wzmagały się. Lucylla opowiada z bolesną wymową, jakich wrażeń doznała przy zbliżającym się dniu 10-go Kwietnia 1792-go roku.

Była to data obrona na zajęcie Tuilleries. We czwartek, 9-go t. m., nazajutrz po powrocie ze wsi, w zeszytce swoim zapisywała słowa, — jakże odmienne w swej prawdzie, pełnej wzruszenia, od marzeń niepewnych młodej dziewczyny! — „Co z nami będzie? już nie mamy siły! Kamilu, mój biedny Kamilu, co się z tobą stanie? tchu mi brak. Dzisiejsza noc jest tą nocą fatalną!” Dalej pisze: „Po obiedzie poszliśmy wszyscy do Dantona. Matka płakała, była w najwyższym stopniu zasmucona, a mały jej miał minę ogłupiałą. Danton był mężny. Ja śmiałam się, jak szalona. Obawiali się, że zamiar nie dojdzie do skutku. „Jak można śmiać się w takiej chwili!” — powtarzała pani Danton. — „Niestety, — odrzekła Lucylla, — to mi jest przepowiednią, że dziś wieczorem wiele łez wyleję.”

Odgadujemy ją, widzimy zdenerwowaną, pokrywającą swój niepokój udaną wesołością, śmiechem konwulsyjnym. Za chwilę, idąc ulicą przepelnioną ludźmi, spotykają się z okrzykami: „Niech żyje naród!”. Lucylla doznaje strachu. Powraca do Dantona i zastaje go podnieconym. „Wkrótce — pisze — ujrzałam wszystkich zbrojących się. Kamil, mój drogi Kamil przybył z fuzją.” Teraz, z głową ukrytą w dłoniach, biedna Lucylla płacze. „By nie okazać tyle słabości wobec ludzi, a pragnąc powiedzieć Kamilowi, iż nie chce, by brał udział w tem wszystkim, wyczekiwałam chwili, w którejbym mogła mu to wyznać i przedstawić mu wszystkie moje obawy, nie będąc słyszaną. Uspokoił mnie, mówiąc, że nie opuści Dantona.”

Danton położył się na chwilę tylko, a potem udał się w nocy do ratusza. „Dał się słyszeć dzwon u Franciszkanów i dzwonił długo. Zalana łzami, z twarzą w chustkę ukrytą, klęczałam na oknie i słuchałam odgłosu tego strasznego dzwonu.”

Pani Danton była przy niej równie zgnębiona i zamyślona. Od czasu do czasu, w nocy, wysłańcy przynosili jakieś niepewne wieści biednym kobietom, które pełne niepokoju chodziły od ulicy Franciszkanów do placu Théâtre Français. O pierwszej w nocy powrócił Kamil. Zasnął na ramieniu Lucylli. Nad ranem położył się. W salonie kazał ustawić łóżko składane dla pani Danton, która nie miała odwagi powrócić do domu przy ulicy Franciszkanów.

Wkrótce Kamil wyszedł. Kobiety pozostawiały same, próbowały jeść śniadanie, czytać, zapomnieć o tem, co się dzieje. Nagle Lucylla nadsłuchując, zawołała: „Strzelają z armat!” Pani Danton nadstawia uszu, słyszy, blednie i pada zemdlona.

„Rozebrałam ją — mówi Lucylla, — i sama blizka zemdlenia, musiałam zapanować nad sobą, a konieczność ratowania jej, dodała mi siły. Wkrótce też przyszła do siebie.”

Straszne wieści. Niepokój Lucylli. Aresztowanie i śmierć Kamila.

Rewolucja weszła w swoją ostatnią fazę — fazę gwałtów zbrodniczych. Po śmierci Girondystów, dusza Kamila wzdyga się na tyle krwi przelanej. Chwyta znów za pióro, — odnajduje cały swój poryw sarkastyczny, lecz teraz walczy przeciw Terrorystom i Robespierrowi.

Lucylla jest dumna z zadania podjętego przez męża. Ona, która niedawno jeszcze zalewała się łzami, teraz czuje się silną, gdy idzie o walkę miłosierdzia i wolności przeciw nienawiści i tyraństwu. Brunowi, który obawia się o Desmoulins'a, odpowiada: „Pozwól mu działać, Brune, pozwól, by spełnił powołanie swoje; on musi kraj swój zbawić.”

Miłość głęboka Lucylli wynagradza Kamilowi wszystkie obelgi, wszystkie oszczerstwa, jakie miotają na niego nieprzyjaciele, lecz mimo wszystko czuje, że szczęście jego jest podkopane; znika ono z dnia na dzień, ucieka i pozostaje cień tylko. Rozpacz, niepokój, obawa, opanowały dom jego i wkrótce wybijają godziny tragiczne.

Dnia 20-go Marca r. 1793-go wieczorem Lucylla spoczywa na swem łóżku obok kołyski dziecka. Godzina już późna. Podczas dnia Kamil otrzymał list z wiadomością o śmierci swej matki; siedzi w sąsiednim pokoju i płacze. Nagle, kolby od fuzji wstrząsają drzwiami. „Przychodzą mnie aresztować!” — woła Kamil. Lucylla zrywa się i patrzy na niego z rozpaczą. Czuje, że ją ogarnia szaleństwo. Kamil wrywa się z jej objęciem, całuje syna i biegnie otworzyć. Nieszczęśliwa Lucylla przywołuje go, czepia się jego ramion; — tylko zemdlenie zdołało rozłączyć ją z ukochanym Kamilem.

Uwięziony w Luksemburgu, Kamil pisze listy, które są jednym długim wykrzykiem rozpacz i miłości. Z okna celi swojej ma widok na ten ogród, w którym przez pięć lat widywał Lucyllę. Jedno spojrzenie na Luksemburg przywodzi mi na pamięć mnóstwo wspomnień z naszej miłości. Jakże ten czas jest daleki! Rzucam się na kolana, wyciągam ramiona do uścisku... lecz nie znajduję już mojej biednej Loulou... Wstałem, by pisać do ciebie, lecz samotność, te straszne kraty, te zamki, które mnie od ciebie oddzielają — pokonały siły mego ducha. Zalałem się łzami, a raczej załkałem w moim grobie: Lucylo! Lucylo! och! moja droga Lucylo, gdzie ty jesteś?... Widzę, jaki los mnie czeka; adieu moja Lolotto, *adieu mon bon Loup!* Wybacz moja droga przyjaciółko, moje prawdziwe życie, które utraciłem z chwilą, gdy nas rozłączono... Moja Lucylo, mój dobry Loulou, nie przywołuj mnie swemi krzykami: rozdarłyby mi duszę w głębi mego grobu... Zobaczę cię kiedyś; adieu Loulou, moje życie, moja duszo, moje bóstwo na ziemi! Adieu, Lucylo, moja Lucylo, moja droga Lucylo... Czuje, jak przedemną ucieka strumień życia. Widzę jeszcze Lucyllę! widzę ją, tę moją ukochaną, moją Lucyllę! Moje ręce skrępowane ścisną ją, a zamierające oczy mojej odciętej głowy spoczywają jeszcze miłośnie na tobie.”

Lucylla przed Trybunałem rewolucyjnym. Męczenniczka wierności.

Piątego Kwietnia 1794-go r. Kamil wstępował na rusztowanie. Listy jego nie doszły Lucylli. Podczas dni, które poprzedzały skazanie męża, nieszczęśliwa, złamana rozpaczą, błąkała się wokoło więzienia, szukając sposobu, by się z nim zobaczyć. Ten ostatni dowód miłości zgubił ją. Została skazana na

śmierć pod zarzutem, że należała do mniemnego spisku więziennego.

Egzaltacja, która ośwładnęła ją po śmierci męża, ustąpiła miejsca pogodzie. Uspokoiła się, zobojętniała podczas trwania procesu. Usłyszawszy wyrok skazujący ją, podniosła głowę i zawołała: „O radości! a więc za kilka godzin ujrzę mego Kamila!”

Została zcięta w tydzień po nim. Idąc na śmierć, ubrała się, jak oblubienica. Zarzuciła na głowę lekką, białą chusteczkę. Nieco przybladła — uśmiechała się. W chwili, gdy jej włosy obcięto, zanim jej skrępowano ręce, napisała do matki słowa wzruszające: „Dobranoc, moja mamó droga; idę zasnąć w spokoju niewinności; łza pada mi z oczu — jest ona dla ciebie.” Gdy się zbliżył wóz, który miał ją zawieźć na rusztowanie, ukłoniła się „wesoło” kiwnięciem głowy byłemu generałowi Arturowi Dillon, skazanemu również na śmierć. A gdy Dillon ubolewał nad nią, rzekła: „Przyjrzyj się, czy moja twarz wygląda na twarz kobiety, którą należy pocieszać?” A później dodała: „Zamordowali najlepszego z ludzi i gdybym nie czuła do nich za to nienawiści, błogosławiłabym ich za przysługę, jaką mi dziś wyświadczają.”

Przybywszy do rusztowania, wstępowała po stopniach w milczeniu, z rodzajem radośnej dumy. Były to dla niej stopnie, jakby wiodące ku ołtarzowi. Wszak spodziewała się ujrzeć swego Kamila! Ta myśl malowała się w jej uśmiechu. Kat przyglądał się jej mimowolnie wzruszony. Mówił, że zaledwie trochę zbladła.

Ta dziewczeczka Greuza miała umrzeć, jak niewiasta rzymska. Ta blond głowa dziecka pieszczonego miała zachować wyraz głębokiej radości i gorącej ekstazy jeszcze wtedy, gdy już brutalne ręce pomocnika kata rzuciły ją broczącą krwią, na dno czerwone straszne kosza.

Gdy biedna Lucylla, jako młodzieńcze dziewczę marzyła o przyszłości, czy miała już wówczas przecucie swego tragicznego przeznaczenia? W jej zeszytce znajduje się wiersz, który zapisała pewnie w chwili melancholijnego rozmarzenia: „Napisz na moim grobie: — kochała.”

Kochała! Jakież napis byłby odpowiedniejszym dla tkliwej i wiernej Lucylli. Całe życie uroczej i heroicznej żony Kamila zawiera się w tych słowach: Kochała — nawet po za grób.

M. K.



Kronika działalności kobiecej.



— Letniska dla kobiet pracujących.

Połączenie sił słabych stanowi potęgę. Dwie instytucje, z których jedna bardzo młoda, bo istniejąca dopiero 7 miesięcy, to jest kassa samopomocy dla kobiet pracujących i w Grudniu założona kassa leczniczo-posagowa, podały sobie ręce i wspólnymi siłami, opierając się na racjonalnym, dobrze obmyślanym gruncie, rozpoczęły dzieło, o którym tak wiele mówi się u nas i pisze, a które wątpliwi rozpoczęte środkami, rozwinąć się może do bardzo poważnych wyników.

Oto wspomniane instytucje wynajęły pod Piasecznem dom w pobliżu lasu i bądź na bardzo przystępnych warunkach, bądź zupełnie bezpłatnie, umieściły tam, (zmieniając kolejno), niektóre chociaż, z pośród swoich uczestniczek, przeciążonych pracą i potrzebujących koniecznie odpoczynku i poratowania zdrowia.

Na początek liczba wysyłanych na letnisko uczestniczek jest bardzo skromna, lecz każdy początek bywa trudny, zwłaszcza u nas, gdzie

ogół, nie zżyty jeszcze dostatecznie z działalnością społecznych instytucji, bardzo wytrwałej i długiej potrzebuje zachęty.

Liczba letniczek wysłanych od 20 maja, staraniem obu instytucji wynosi 34. Na kasę posagową przypada 12, na kasę samopomocy 22. Z tych na koszt pierwszej wysłano 5, na koszt drugiej 11.

Oplata wynosi 8 rb. miesięcznie, za które letniczka otrzymuje: mieszkanie, usługę, herbaty z cukrem, ile zechce i obiad złożony z zupy, pieczystego i jarzyny (sztuka mięsa nie rachuje się jako danie). Mleko tanie, bardzo dobre, dowożone z okolicy, oraz pieczywo — letniczki płacące rubli 8, kupują sobie same. Bliskość Chyliczek ułatwia dostanie wielu produktów.

Rozwijając dalej pracę w tym kierunku rozpoczętą, wice-prezesowa Kassy samopomocy, p. Marya Małkowska, aktem, zawartym przed rejentem Jełowickim, nabyła plac z ogrodzeniem, obejmujący 12,000 łokci, z domem mieszkalnym, z których połowę z domem dla kassy samopomocy, połowę dla kassy leczniczo posagowej.

Przy akcie wypłacono rb. 800, z tych 500 ofiarowane na ten cel przez Annę hr. Branicką, a 300 z funduszu kassy leczniczej. Reszta szacunku została rozdzielona na 4 raty rocznie, płatne z dniem 15-go listopada, (po rb. 417 kop. 50).

Miejscowość nabyta na lotnisko lesista, w bliskości rzeki, na gruncie przemakalnym, posiada wszelkie warunki zdrowotności.

Dodać tu należy, że kassy nie obciąża dług zaden, że spłata nastąpi jedynie z funduszu specjalnie na ten cel zdobytych.

Zarząd zaś nie porzestanie na utworzeniu letniska, lecz pragnie w przyszłości założyć przy niem gospodarstwo wiejskie, dawać stałe schronienie przepracowanym swoim uczestnikom, nie wątpiąc, że przy szerszym rozwoju, dochody pokryją koszty utrzymania.

Jak wiele takie skromne instytucje czynią dobrego, niechaj świadczą cyfry. W młodej kassie leczniczo posagowej, której życie nie miało jeszcze czasu zaznaczyć się w naszym społeczeństwie, przez ciąg 6-cio miesięczny udzielono porad lekarskich 217 i wydano lekarstw 320.

Obecnie, przy tak częstych wypadkach ospy, w obu instytucjach szczepienie odbywa się bezpłatnie. Zaszczepiono dotychczas 9-ciu uczestnikom z kassy leczniczej i 14-u z kassy samopomocy.

Składki miesięczne, obowiązujące uczestniczki, są nader drobne, a dobra za nie tak wiele, — czemuż to u nas tak trudno dojść do tego, do czego tak łatwo dochodzą obcy... Za granicą instytucje podobne, oparte na takichże samych podstawach, poprostu imponują liczbą i... punktualnością swoich członkiń, u nas wiecznie nawoływać trzeba.

— Dzięki prywatnej ofiarności założono przed kilku miesiącami przytułek dla staruszek.

W końcu zeszłego miesiąca przeniesiono go z ulicy Lipowej do domu przy ul. Dobrej Nr. 12, gdzie tworzy do pewnego stopnia całość z instytucją schronienia sług, gdyż pozostaje pod wspólnym zarządem pani Nideckiej, kierowniczką owego Schronienia.

W chwili obecnej w Schronieniu znajduje pomieszczenie 9 staruszek. Biedne te, samotne, schorzałe i życiem zmęczone kobiety, znajdują w Schronieniu opiekę i całkowite, choć skromne, lecz wystarczające utrzymanie. Każda ma schludnie zaściłane łóżko, półkę na rzeczy, krzesło, nawet obrazek święty. Skromny, cichy kącik na ostatnie dni żywota.

Było w Schronieniu staruszek dziesięć, ale jedna przed kilku tygodniami zmarła. Gorliwymi i rzeczywiście nieustrudzonymi opiekunami przytułku są: pani inżynierowa Kucharzewska i pan Lubecki. — Zamiarem opiekunów jest uzyskanie, drogą składek, funduszu,

potrzebnego na rozszerzenie przytułku, albowiem okazało się, że jest on na potrzeby choćby tylko jednego Powiśla, stanowczo za mały.

— Jena. Kursa dla kobiet podczas feryi, prowadzone przez profesorów uniwersytetu, rozpoczęły się w końcu zeszłego miesiąca i trwać będą przez Sierpień. Kursa obejmują: przyrodę, pedagogikę, historię literatury, powszechną i kościoła, sztukę, języki, filozofię. Bliższych wiadomości udziela doktorka filozofii, pani Schuetger, Jena, Gartenstrasse 2.

— Tyrol. Najnowszą zdobyczą nieuprawianej dotychczas przez kobiety pracy jest w Tyrolu, w ostatnich czasach, powierzenie kobietom obowiązków listonoszów, które kobiety spełniają sumiennie, ku zadowoleniu ogółu mieszkańców.

Z. S.

Nasz ul.

— Towarzystwo Pszczelnico-Ogrodnicze w Warszawie zamierza urządzić kursa 5-cio-dniowe zdobnictwa kwiatowego od dnia 13—17-go Września r. b. Oplata za całość kursu wynosi rubli 10. Towarzystwo dostarczy pokazów i żywych kwiatów, do robót na kursach zamierzonych. Nauka obejmuje układanie wiązanek, plectenie wieńców, przystrajanie stolów i t. p.

— Dnia 30-go z. m. rozważano na posiedzeniu komitetu trzeźwości, projekty nadesłane na konkurs budowy „Domu ludowego“ na placu Żelaznej-Bramy.

Nagrodę pierwszą w summie rubli 750 przyznano projektowi pod godłem „Vivat ars,“ opracowanemu przez budowniczych pp. Fepderfa i Jakunina.

Nagrodę drugą w summie rubli 450 — projektowi z godłem „30,“ autorem którego jest inżynier wojskowy, p. Tretiakow.

Nagrodę trzecią — rubli 300, otrzymał projekt budowniczych pp. Kudera i Żychiewicza pod godłem „Ars.“

Wykonanie „Domu ludowego“ dokonywać się będzie według projektu, zaszczyconego pierwszą nagrodą.

— W tych dniach w Hallach targowych przy ulicy Mirowskiej puszczone w ruch maszyny i instalacje, przeznaczone do ochładzania kurytarzy i składów podziemnych, mieszczących produkty spożywcze. W tejsze części zabudowania założono fabrykę lodu.

— W Ciechanowie zawiązała się spółka wzajemnej pomocy gospodarzy mało-rolnych, w liczbie 22-eh członków. Na przewodniczącego wybrano p. Jana Dembowskiego, właściciela majątku Przedwojowa, na zastępcę p. Ignacego Kosińskiego, na kassyerkę i sekretarkę p. Maryę Dembowską z Przedwojowa, na zastępcę ks. Leona Gościckiego z Ciechanowa. Do rady powołano pp.: Marcina Buraczyńskiego i Stanisława Konwerskiego ze wsi Kąty.

— Zarząd strogonowskiej Szkoły centralnej artystyczno-

przemysłowej w Moskwie, ogłosił konkurs na projekty z zakresu sztuki stosowanej do przemysłu, a mianowicie: 1) na projekt portyery do drzwi i okien; 2) żelaznych krat z bramą wjazdową; 3) przyboru do pisania z brązu na biurko męskie, z lampą brązową do oświetlenia elektrycznego.

Za wszystkie trzy projekty wyznaczono nagrody pieniężne.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa w dniu 15-go Listopada r. b. Wszelkich szczegółowych informacji udzielają osobom interesowanym w kancelaryi Towarzystwa Sztuk Pięknych.

— Wobec licznych zgłoszeń wystawców, pragnących zapewnić swój współdział, termin otwarcia wystawy fotograficznej w Krakowie uległ odroczeniu do dnia 10-go Sierpnia. Odpowiedzi i bliższych wskazówek udziela komitet Towarzystwa fotografów amatorów w Krakowie, ulica Wolska № 18.

— W księstwie Badeńskim mianowaną została po raz pierwszy kobieta, pracująca w badeńskim dozorcze fabrycznym, inspektorką fabryczną. Panna d-r Baum pracowała poprzednio, jako asystentka w Uniwersytecie w Zurychu, a następnie, jako chemiczka w jednej z fabryk berlińskich.

— W Ameryce, w stanie Kansas, mieszkańcy miasta Haddon zamianowali kobietę burmistrznią miejską. Stanowiska rajczyń miejskich przypadły także w udziale samym kobietom. Wiadomość tę podajemy za „Kurrierem Warszawskim“ (n-r 2C9).

— W Londynie zmarł *Wilson Barrett*, znany angielski aktor i autor melodramatów. Najbardziej znanymi u nas sztukami jego były: „Lygia,“ przerobiona z „Quo vadis“ Sienkiewicza, którą poznaliśmy w Bagateli, grywaną przez trupę łódzką za dyrekcji ś. p. Michała Wołowskiego i „Pod znakiem krzyża,“ wystawioną na scenie Teatru Ludowego w Warszawie. Barrett posiadał zdolności reżyserskie i dyrektorskie i potrafił należycie ocenić talent prawdziwy i przyczynić się do jego poparcia. Żył lat 58.

Treść numeru:

Polki we współczesnej literaturze i sztuce: Zofia Mellero-wa, przez Mileśa (dokończenie).— Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicza (ciąg dalszy).— Czy moja rola kłosa wyda? (wiersz), przez Antoniego Koźluka. — Idealy i rzeczywistość emancypacji kobiecej, przez Siefert-Ciechińską.— O szczęście dziecka, przez Jadwigę z Z. Strokową (dokończenie).— Matka, quasi-humoreska, przez Fr. Reinsteina.— Obrazy z przeszłości niewiast, przez Maryę Łopuszańską (ciąg dalszy).— Koronki francuzkie. — Romans Lucylli Desmoulins, przez M. K. (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S.— Nasz ul.— Ofiary.— Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 1-szy „Robotnic w Stanach Zjednoczonych“ Van Vorsta, w przekładzie J. P.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycyn 30). — Przepisy kuchenne, oraz Tablica krojów.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz“

KSIĄŻKA ZBIOROWA p. t.

„KOBIETA WSPÓŁCZESNA“

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszczu.“

Prenumeratorki „BLUSZCZU“ płacą za powyższe dzieło
tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcji Damskiej

L. GAŁKOWSKIEGO

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole i wyroby trykotowe francuzkie. Najlepszy krój koszul męzkich.

PENSYA ŻEŃSKA z klasą wstępną

ANTONINY WALICKIEJ

w Warszawie, Krucza № 44.

Zapis uczenie do 25 czerwca, a po wakacjach od 15 sierpnia od 3-ej do 4-ej w dnie powszednie. Egzamin w 1 września. Lekcje rozpoczyna się 2 września.

Kursy froeblovskie ze sloidem **JADWIGI BOROWSKIEJ**
dla bon i wychowawczyń

Wspólna 20. dawniej JAHÓŁKOWSKIEJ

Pensyonat. Po ukończeniu świadectwo, posady, lekcy. Zapis od 25 sierpnia.

KURSY FREBLOWSKIE ze sloydem i rysunkiem

Zakład **JADWIGI CHRZĄSZCZEWSKIEJ** WARSZAWA, Nowy-Świat 21.

przyjmuje pensyonarki; Francuzka stale. Po skończeniu udziela świadectw, daje posady, lekcy. Ceny przystępne.

Kroju wyucza gruntownie bez poprawek bardzo tanio najnowszym systemem teoretycznie i praktycznie w przeciągu 3—4 tygodni, właścicielka znanej firmy

„CHIC VARSOVIEN”

wykwintnej pracowni sukien dyplomowana przez Paryską Akademię Mistrzów Krawieckich. Zgoda 6.

Rekomendowana przez Tow. Gospodyń Domowych, nagrodzona najwyższą nagrodą „Grand Prix” na Paryskiej wystawie powszechnej, opatentowana

MASZYNA DO CEROWANIA

Za pomocą maszyny nawet dziecko chętnie i z przyjemnością spełni bardzo szybko i ładnie wszystkie domowe reparacje cerownicze, jak to: naprawa pończoch, obrusów, bielizny, chustek i t. p. trochę lub bardziej uszkodzonych. Maszynka stanowczo wpływa na zachowanie wzroku, olbrzymią oszczędność czasu, trwałość, piękno i jednolitość roboty.

Praca tego rodzaju stanowi przyjemną rozrywkę i daje pewien dochód

Wysyłam za zaliczeniem pocztowem.

Cena wraz z ilustrowanym podręcznikiem i przesyłką pocztową tylko

3 rb. 35 kop.

Adres dla listów i pieniędzy Reprezentant **W. N. Fernebock**, Warszawa, I-szy kantor pocztowy, skrzynka № 80.

Miejscowa sprzedaż
Graniczna ulica № 6 m. 27, od 3—5 po południu.

Najtańsze

bo najhygieniczniejsze

Naczynia z czystego niklu,

fabryki A. Kruppa w Berndorfie (Austria)

z ustępstwem od cen fabrycznych, poleca,

Skład naczyń kuchennych

Edwarda Dusoge

w Warszawie, Nowy-Świat № 5.

Cenniki gratis.

Telefon № 2515

W numerze 21 „Bluszczu” p. t. „Do naszych Czytelniczek” było ogłoszone

O wzorach dziurkowanych do haftu,

które każda z Czytelniczek naszych może posiadać zeszyt składający się z 7-iu arkuszy i zawierający dziurkowane desenie wszystkich liter alfabetu, kilka odmian kwiatów i motyli stylizowanych, ząbki i ozdoby brzegów, całe desenie na małe serwetki, ramki stosowne na podarki i t. d. Cenę zeszytu wraz z proszkiem w dwóch kolorach (czarny na materiały jasne i jasny — na ciemne) oznaczyliśmy na kop. 50 wraz z przesyłką pocztową, (wykluczając zaliczenia pocztowe, za które pobieramy 10 kop. więcej).

Niezależnie od zeszytów, które mamy na składzie i od cen takowych, przyjmujemy również zamówienia na które dostarczyć możemy w krótkim czasie wszelkich żądanych wzorów dziurkowanych na pasy na stół, serwetki, poduszki na kanapy, kołnierze, wyłogi, mankiety, całe suknie, monogramy, roboty point-lace i t. p. Do zamówienia dołączać należy wielkość żadanego deseni w centymetrach, jeżeli zaś idzie o suknie, lub o jej części składowe, prosimy o przysłanie formy papierowej, oraz dokładnego opisu rodzaju ozdoby i stylu (zakopiański, arabski, grecki, rococo, renaissance, gotyk, chińszczyzna, japońszczyzna secesya i t. d., lub fantazyja).

Z p. Kamińskim, który komponuje desenia dziurkowane i daje ceny zamówionych wzorów, mogą nasze czytelniczki widzieć się w Poniedziałki Środy i Czwartki od godz. 6 do 7 wieczorem.

Po rb. 10, 25, 30, 45 do 200 rub.

Polecamy:

Serwisy stołowe na 12 osób kolorowe i ręcznie malowane są gotowe na składzie fajansowe, granitowe i porcelanowe składające się od 71 do 122 kompletów.

Szkoło stołowe krajowe jako też i zagraniczne: Baccarat, Czeskie i t. p. duży wybór od 9 rubli do 175 r. na 12 osób.

Garnitury na umywalnie granitowe angielskie od 5 rubli; do herbaty i kawy malowane na 12 osób od 5 do 50 rubli.

Garnitury toaletowe w dużym wyborze.

Donice do kwiatów od 25 k. za sztukę. Talerze fajansowe stołowe mocne I s. od 1 rb. kolorowe po 1.25 k. za tuzin.

Naczynia higieniczne, kuchenne, kamienne.

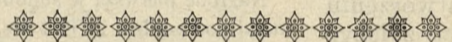
Szklanki do herbaty od 50 kop. tuzin. Wazony, żardiniery, figury, biusty, patery, kandelabry, popielniczki. Galanterijne przedmioty w wielkim wyborze. Ceny przystępne.

Malarnia własna przyjmuje zamówienia na herby i monogramy na porcelanie i szkle.

ADRES:

Mazowiecka 8.

F. Pierzchalski



Kuryer Codzienny

pismo społeczno literacko polityczne.

Wychodzi przez czas wojny dwa razy dziennie.

Drukuje znakomite studjum

Bolesława Prusa

Japonia i Japończycy,

oraz bardzo interesującą powieść

Michała Muttermilcha

Ż Y D Z I.

Jako premium bezpłatnie drukuje rozgłosną powieść T. T. Jeża

U S K O K I.

Cena prenumeraty:

w Warszawie:

Rocznie
Półrocznie
Miesięcznie

rub. 6.—
" 3.—
" —.50

Z przesyłką pocztową:

Rocznie
Półrocznie
Miesięcznie

rub. 9.—
" 4.50
" —.75

Dotąd wyszły nakładem „Kuryera Codziennego” i są do nabycia następujące utwory:

Pisma **Z. Krasieńskiego**: cztery tomy w oprawie rb. 1.80. **Wincentego Pola**: „Morbort”, „Pamiętniki imci pana Winnickiego” oba utwory w oprawie k. 80. „Pacholek hetmański” w opr. k. 80. „Pamiętniki Stanisława Augusta Poniatowskiego” w opr. rb. 1. **F. Norrisa**: „Octopus” 2 tomy w opr. rb. 1.20 k. **P. Adamsa**: „Syn wojaka z pod Austerlitz” w opr. k. 60. **J. I. Kraszewskiego**: „Dyabeł” 2 tomy w opr. 1.60. „Morituri” 2 tomy w opr. 1.50. „Ostatnie chwile Księcia Wojewody” (Panie Kochanku) w opr. k. 60. **D’Anunzio**: „Ogień” 2 tomy 1.20. **D’Aigremonta**: „Mateczka” 2 tomy 1.20. **Hall Caina**: „Wieczne miasto” 2 tomy 1.60. **K. W. Woycickiego**: „Kurpie” w opr. k. 60 tegoż „Dworek i pałac” w opr. k. 60. „Wybór powieści nieboszczyka Pantofla” w opr. k. 80. **M. Mochnacki**: „O literaturze polskiej w wieku XIX w opr. 1.

Wydawca: **Piotr Laskauer**. — Redaktor: **Maryan Gawalewicz**.

Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Юля 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41